

**SZWAJCARIA –
CENTRUM TAJNEGO FRONTU**

str. 5

**INAUGURACJA
ROKU
KULTURALNEGO**

str. 8–9

**KOSMONAUTYKA –
LORD PARADOKS**

str. 7

MAGAZYN –

str. 15–16

**NA CO ZMARŁA
BARBARA RADZIWIŁŁOWNA?**

str. 5

**JAKA BĘDZIE
PRZYSZŁOŚĆ?**

str. 10

**PROPOZYCJE:
OWACJE DLA PZPN**

str. 12

ODGŁOSY

ROK XVIII NR 41 (931)

9 PAŹDZIERNIKA 1975 ROKU

CENA 3 ŻŁ

TYGODNIK SPOŁECZNO-KULTURALNY

REKOMENDACJE

Przed paroma dniami odbyła się w Łodzi uroczysta Inauguracja Roku Kulturalno-Oświatowego i sezonu artystycznego. Tej ważnej dla kultury Łodzi sprawie poświęcamy dwie kolumny „Odgłosów”. Prezentujemy zatem fragmenty wystąpienia kierownika Wydziału Propagandy i Kultury KŁ PZPR, Tadeusza Lewandowskiego, oraz obszernie omówienie dyskusji.

W bieżącym numerze kończymy siedemnastoodcinkowy cykl Zbigniewa Kuchowicza o Barbarze Radziwiłłównie. Jak już pisaliśmy, są to fragmenty monografii łódzkiego historyka, która ukaże się w przyszłym roku nakładem Wydawnictwa Łódzkiego. Sądzymy, że zainteresowani naszym cyklem Czytelnicy z ochotą sięgną po książkę prof. Zbigniewa Kuchowicza, by dokładniej zapoznać się z historyczną rolą pięknej królowej w obyczajowych, politycznych i kulturalnych dziejach Polski.

Jednocześnie rozpoczynamy w tym numerze nowy cykl Andrzeja Blajera o wojnie wywiadów w centrum tajnego frontu na terenie Szwajcarii, w czasie II wojny światowej.

Odnawiamy także dość obszernie Dzień Nauczyciela. Z tego bloku tematycznego proponujemy naszym Czytelnikom wywiad na temat nauczania języka rosyjskiego, opowiadanie Marii Siwińskiej oraz fotoreportaż Włodzimierza Parysa z łódzkich szkół.

Z dziedziny kosmonautyki publikujemy szkic Mirosława Wojałskiego o Ary Sternfeldzie, jednym z pionierów radzieckich badań kosmicznych. Ponadto bieżący numer zawiera wszystkie stałe pozycje – felietony, wydarzenia na arenie międzynarodowej, informacje książkowe oraz dwie rozrywkowe kolumny naszego Magazynu.



RYSZARD BINKOWSKI

KWIATY NA ASFALCIE

CENTRUM TAJNEGO FRONTU I

ANDRZEJ BLAJER

Wojna wywiadów

Wydarzenia i fakty jakie zostaną przedstawione w niniejszym cyklu, należą do stosunkowo najmniej znanych w historii drugiej wojny światowej, choć wywarły niebagatelny wpływ na jej końcowy rezultat. Najmniej znanych – dotyczą one bowiem spraw związanych z działalnością wywiadów stron walczących, a jak powszechnie wiadomo, sprawy te pozostają zwykle okryte ścisłą tajemnicą. Nie zatem dziwnego, iż dopiero w ostatnich latach wiele faktów z tamtego okresu zostało ujawnionych i stało się następnie przedmiotem badań historyków oraz specjalistów wojskowych. Opisywane tutaj wydarzenia stanowią dość poważny przyczynek do historii tajnego frontu drugiej wojny światowej m. in. z tego względu, iż rozgrywały się w sa-

(Dalszy ciąg na str. 5)

ZBIGNIEW
KUCHOWICZ

TRUCIZNA KIŁA CZY RAK?

Część opinii współczesnej, zaskoczona przedwczesną śmiercią Barbary, mającej miejsce tuż po przezwyciężeniu oporów dotyczących jej małżeństwa i koronacji, dopatrywała się skrytobójstwa. Podejrzanie takie nie było urojeniem, podstawę dawało postępowanie Zygmunta Augusta, który lękał się zamachów, szczególnie trucizny, zalecał i stosował wobec żony specjalne środki bezpieczeństwa. Trucicielstwem nie było w Polsce rozpowszechnione, niemniej nie brakowało także i u nas zbrodniczych poczynąń, stąd też wersje, jakie snuto na temat skrytobójstwa tak znanych postaci, jak królowa Elżbieta, Stefan Batory; wiemy, że rzeczywiście, choć na obczyźnie, trucizna spowodowała śmierć królowej Bony. W 1551 roku podejrzenia zgładzenia Barbary padały właśnie na Bonę, stąd też pewni kronikarze (Bielski, Strykowski a za nimi i późniejsi) zapisali owo przypuszczenie, że Barbara została otruta za sprawą Bony. Jako domniemanego wykonawcę mordu wymieniano sekretarza starej królowej Włocha Ludwika Monti. Wersja otrucia występowała czasem w historiografii i publicystyce XIX wieku, nie wykluczał jej np. znany historyk Józef Szulski. Szczególnie mocno została jednak spopularyzowana w poezji, stąd zaś przeszła do szerokiego kręgu społeczeństwa, które w przeważającej większości badał jeszcze i dziś wierząc, że Barbara padła ofiarą trucizny.

Jeśli chodzi o ludzi dobrze zorientowanych, Zygmunta Augusta i najbliższe otoczenie, to po zejściu królowej nie czynili jednak żadnych aluzji do nienaturalnej przyczyny jej śmierci. Wiedzieli, że zgon poprzedziła wielomiesięczna, ciężka choroba, zejścia królowej spodziewano się od dłuższego czasu, jej śmierć nie była zgonem gwałtownym, nagłym, będącym rezultatem szybko działającej trucizny. Nie znano zaś wtedy środków, które by powodowały śmierć dopiero w pół roku po ich podaniu. Moment skrytobójstwa królowej zdecydowanie wykluczył w sumie wywnioskowanie, że to ona była ofiarą trucizny. Studium, historyk medycyny równocześnie lekarz Witold Ziembicki, który w 1935 roku stwierdzał:

„Ze stanowiska lekarskiego sprawa otrucia Barbary nie może być w ogóle traktowana poważnie. Lekarz śledzący na podstawie zachowanego materiału przebieg tej choroby, rozwijającej się przez długie miesiące i

(Dalszy ciąg na str. 5)

NAUKA

JĘZYK PRZYJACIÓŁ

ROZMOWA Z PROF. DR HAB. MŚCISŁAWEM OLECHNOWICZEM



— Panie Profesorze, od wielu lat w Polsce uczymy się języka rosyjskiego. Jednak jestem pewien, że nie wszyscy zdajemy sobie sprawę z tego, jakie znaczenie ma ten język w świecie współczesnym.

— Język rosyjski wkroczył na arenę międzynarodową dopiero po II wojnie światowej w związku z powstaniem światowego systemu krajów socjalistycznych oraz powołaniem w 1945 r. ONZ, w której język rosyjski stał się jednym z oficjalnych języków tej organizacji. Co więcej, w roku 1968 język rosyjski został wprowadzony jako język roboczy, do organów Zgromadzenia ONZ i Rady Bezpieczeństwa obok angielskiego i francuskiego.

— Pragnę dodać, że zaraz po wojnie nauczanie języka rosyjskiego na szeroką skalę wprowadzono we wszystkich krajach obozu socjalistycznego. Stopniowo też nauczanie języka rosyjskiego zaczyna przenikać do programów różnych szkół krajów kapitalistycznych. Przyczyną zainteresowania się tym językiem w owych krajach były osiągnięcia Związku Radzieckiego w różnych dziedzinach nauki i techniki, a zwłaszcza osiągnięcia w dziedzinie podboju kosmosu oraz fakt, że około 40 proc. całej informacji naukowo-technicznej i dokumentacji na świecie publikuje się w języku rosyjskim. Gwałtowny wzrost zainteresowania nauką języka rosyjskiego w wysoko rozwiniętych krajach kapitalistycznych oraz krajach trzeciego świata wynikał także z aktualnych i perspektywicznych potrzeb ich gospodarczego i społecznego rozwoju.

— Jak wynika z danych UNESCO Związek Radziecki wydaje przeszło 20 proc. światowej produkcji książek i broszur.

— Oczywiście, i jest to zarazem

jeden z powodów, dla którego w wielu krajach świata zaczęto nauczać tego języka. A to z kolei zrodziło zapotrzebowanie na wysoko kwalifikowaną kadrę dydaktyczną i naukową oraz na podręczniki i pomoce naukowe odpowiednio dostosowane do potrzeb terenu. Ażeby sprostać tym zadaniom powołano w ZSRR w roku 1966 Ośrodek Naukowo-Metodyczny Języka Rosyjskiego przy Uniwersytecie Moskiewskim, przekształcony następnie w Instytut Języka Rosyjskiego im. Puszkina, który prowadzi szeroki wachlarz badań i prac koordynacyjnych dla potrzeb zagranicy. Następnie, już w roku 1967 powołano Międzynarodową Asocjację Wykładowców Języka Rosyjskiego i Literatury. Przystąpiło do niej około 50 krajów. Poszczególne kraje zaś organizują pod auspicjami tego zrzeszenia różnego rodzaju międzynarodowe konferencje i sympozja poświęcone wielu aspektom nauczania języka rosyjskiego w ich środowiskach. M. in. sympozja takie odbyły się w NRD, Anglii, Czechosłowacji, Austrii, Jugosławii i innych krajach.

— Jaki jest udział Polski w tej organizacji?

— Polscy rusycyści biorą czynny udział w pracach i organach Asocjacji Wykładowców oraz w organizowanych pod jej patronatem sympozjach i konferencjach. W 1970 roku w Warszawie miała miejsce pierwsza tego typu konferencja redaktorów czasopism metodycznych poświęconych nauczaniu języka rosyjskiego. Jak wiadomo wydajemy w Polsce „Język Rosyjski”, periodyk poświęcony tym zagadnieniom...

— A co w Łodzi? Włamy, że różne były losy ośrodka rusycystycznego przy UL.

— Szerokie zainteresowanie się kulturą narodów Związku Radzieckiego, w szczególności zaś językiem i literaturą rosyjską rozpoczęło się u nas zaraz po wyzwoleniu Polski. W Łodzi znalazło to swój wyraz w powołaniu już w maju 1945 roku w tworzącym się Uniwersytecie Łódzkim samodzielnej Katedry Języka Rosyjskiego i Literatury. Pierwszym kierownikiem był dr Sergiusz Kulakowski. Katedra ta funkcjonowała do 1955 roku. Pracowałem wówczas w tej Katedrze, a po jej likwidacji, zaprzestaniu jej działalności dydaktycznej — zostałem kierownikiem Studium Języków Obcych. Dydaktyczna reaktywacja filologii rosyjskiej nastąpiła w latach 1965/66. Zaproponowano mi wówczas kierownictwo Katedry Filologii Rosyjskiej. Muszę również nadmienić, że w skład Katedry weszli także obok wykładowców polskich, zaproszeni specjaliści rosyjscy. W chwili obecnej Instytut zatrudnia 36 pracowników

naukowo-dydaktycznych i naukowo-technicznych.

— Jakże są rezultaty pracy rusycystyki łódzkiej?

— W latach 1945—55, czyli do chwili całkowitego zamknięcia rusycystyki w naszym mieście studia ukończyło ogółem 50 osób. Obecnie Instytut Filologii Rosyjskiej prowadzi następujące studia, liczące ogółem 686 studentów, a mianowicie: studia dzienne, studium zaoczne, studium wieczorowe, studium magisterskie dla absolwentów WSN i studium eksternistyczne. Od chwili reaktywowania Instytutu wydał 225 dyplomów magisterskich, w tym 26 dyplomów uzyskanych w trybie studiów eksternistycznych.

— A co z osiągnięciami naukowymi?

— Od 1965 roku dziesięciu pracowników naukowo-dydaktycznych Instytutu uzyskało stopień doktora nauk humanistycznych. Jedną osobą uzyskała stopień doktora habilitowanego. Zainteresowania naukowe pracowników Instytutu koncentrowały się głównie w zakresie językoznawstwa na gramatyce kontrastowej języka rosyjskiego w zestawieniu z polską, na lingwistyce stosowanej oraz strukturze akcentu rosyjskiego; zaś w zakresie historyczno-literackim na recepcji literatury rosyjskiej i radzieckiej w Polsce. Zainteresowania te równomiernie rozkładają się na wszystkie działy językoznawstwa i wszystkie okresy historii literatury rosyjskiej i radzieckiej. Oprócz tego Instytut prowadzi seminarium doktoranckie, na które obecnie uczęszcza dziewięć osób. Cztery prace doktorskie napisane w Instytucie uzyskały nagrodę III stopnia Ministra Nauki, Szkolnictwa Wyższego i Techniki.

— Jak wygląda sprawa publikacji prac naukowych?

— Ogółem pracownicy Instytutu ogłosili drukiem w: „Studia Rossica”, „Język Rosyjski”, „Glottodactica”, „Slavia Orientalis”, „Przegląd Humanistyczny”, „Prace Polonistyczne” i in. przeszło 150 rozpraw i artykułów oraz około trzydziestu druków zwartych, trzy monografie, piętnaście podręczników i osiem zbiorów tekstów. Wiele artykułów ogłoszonych zostało w czasopiśmie i wydawnictwach zagranicznych: radzieckich, czeskich, niemieckich, bułgarskich i in. Pod względem ilości publikacji Instytut Łódzki zajmuje jedno z czołowych miejsc w rusycystyce polskiej. Warto także nadmienić, że pracownicy łódzkiego Instytutu Rusycystyki współpracują też z innymi czasopismami zagranicznymi, takimi jak „Russkij Jazyk za Rubieżom” w Moskwie, „Bielaruskaja Lingwistika” w Mińsku, „Russkij Jazyk w Szkole” w Moskwie, „Fremdsprachunterricht” w Berlinie, „Rustina v teorii i praxi” w Pradze i in.

— Domyślam się, że publikację tym sprzyjają częste kontakty osobiste pracowników łódzkiej rusycystyki.

— Istotnie, Instytut Filologii Rosyjskiej utrzymuje bardzo ożywione stosunki naukowe z licznymi ośrodkami rusycystycznymi za granicą m. in. z Międzynarodową Asocjacją Wykładowców Języka Rosyjskiego i Literatury w Moskwie, z katedrami filologii rosyjskiej w ZSRR, Czechosłowacji, Francji, Bułgarii, Anglii, Belgii, Jugosławii, Rumunii i in. Pracownicy Instytutu brali czynny udział w różnego rodzaju sympozjach, zjazdach, kongresach i konferencjach poświęconych głównie lingwistyce stosowanej w różnych jej aspektach, jakie odbywały się w Moskwie, Leninogradzie, Mińsku, Bergamo, Bratysławie, Jenie, Pradze, Berlinie, etc. Instytut nasz utrzymuje również ścisłą współpracę naukową z instytutami naukowo-badawczymi, a mianowicie z Instytutem Języka Rosyjskiego im. Puszkina w Moskwie oraz tamtejszym Instytutem Języka Rosyjskiego dla Szkół Narodowościowych Akademii Nauk Pedagogicznych ZSRR, z Instytutem Językoznawstwa im. Kozłowa w Mińsku i in.

— W chwili obecnej propaguje się wszędzie nowoczesne nauczanie języków obcych. Sprzyja temu różnego rodzaju udogodnienia techniczne.

— I w tej sprawie także Instytut stara się trzymać rękę na pulsie, jak to się zwykło popularnie mawiać. Oprócz świetnie zaopatrzonej biblioteki oraz działu czasopism zorganizowaliśmy w Instytucie Języka Rosyjskiego specjalne laboratorium językowe wyposażone w najnowsze sprzęt, w którym znajdują się 24 stanowiska. Dla potrzeb tego laboratorium opracowane zostały ćwiczenia językowe nagrywane obecnie na taśmę magnetyfonową, opracowano również rysunki do grafoskopu i slajdy do rzutników przeznaczone do ćwiczeń w mówieniu.

— Panie Profesorze, wiemy przecież, że jest pan autorem wielu podręczników języka rosyjskiego dla studentów, a także autorem wielu prac naukowych dotyczących tego języka, któremu pan poświęcił sporą część swego życia. Nad jakimi problemami w tej dziedzinie pan pracuje?

Głównym przedmiotem moich badań jest akcentacja indoeuropejska i rosyjska oraz gramatyka kontrastatywna języka rosyjskiego i polskiego. A ostatnio ukazały się także w publikacjach książkowych niektóre moje prace. M. in. wydane zostały takie książki jak „Rosyjski system akcentacyjny”, „Ćwiczenia z gramatyki opisowej języka rosyjskiego”, „Ćwiczenia z intonacji i akcentacji rosyjskiej” i jako najnowsza rzecz z tej dziedziny książka pt. „Teoretyczne zasady dystrybucji rosyjskiego akcentu wyrazowego”.

— Dziękuję Panu za spotkanie.

Rozmawiał:
ROMAN GORZELSKI

NIE TYLKO HISTORIA

STOWARZYSZENIE LUDU POLSKIEGO

Książki historyczne, opatrzone znakami krakowskiego Wydawnictwa Literackiego, zasłużyły sobie na dobrą markę. Z niego też wyszła ostatnia książka historyczna, ogłoszona przez zasłużony dom wydawniczy, mianowicie monografia Bolesława Łopuszańskiego „Stowarzyszenie Ludu Polskiego (1835—1841). Geneza i dzieje” (Kraków 1975), będąca bodaj pierwszą osobną pozycją książkową tego autora. Nie zawiodłem się po jej przeczytaniu: jest to interesująca monografia historyczna, dotycząca dzieł jednej z najważniejszych tajnych organizacji, działających na ziemiach polskich po katastrofie powstania listopadowego, organizacji, która starała się ogarnąć całość ziem dawnej Rzeczypospolitej.

Uczestnik i pierwszy historyk galicyjskich spisków Henryk Bogdański powiedział o założonym w 1835 r. Stowarzyszeniu Ludu Polskiego, że związek ten „nie prowadził wprost do zbrojnego powstania, ale przygotowywał do niego wszystkie prowincje dawnej Polski obudzeniem narodowego uczucia i interesu i zbliżaniem wszystkich warstw narodu do siebie, przez zaprowadzenie zmiany w społecznym ich stosunku, a stanął samostannie, bez żadnej uległości jakiegokolwiek związkowi w części Europy i nawet bez styczności z nim”. Ze ukształtował się jako organizacja samodzielną, to niezaprzeczalna prawda, ale że zupełnie niezależnie, co do tego można żywić wątpliwości. Chociaż żadnej formalnej zależności rzeczywiste nie było, uwidaczniały się przecież silne wpływy Między Polami, a kontakty z demokratycznymi środowiskami Wielkiej Emigracji były bardzo bliskie. Przykładem Szymon Koparski, który po przybyciu do Krakowa działał w Stowarzyszeniu, chociaż jego przywódcy nie byli skłonni zgodzić się z jego radykalnymi zapatrywaniami społecznymi.

Stowarzyszenie Ludu Polskiego istniało krótko, zaledwie sześć lat. Jego likwidacja przez władze zaborskie dokonywała się stopniowo, jakby etapami: w 1838 r. zostało ono rozbita na wschodnich ziemiach dawnej Rzeczypospolitej, w latach 1838—1841 zostało zlikwidowane w Królestwie Polskim. Mimo jednak tak krótkotrwałej działalności, organizacja ta odegrała istotną rolę w dziejach polskiego ruchu niepodległościowego i spiskowego w ubiegłym stuleciu. Stowarzyszenie było — jak podkreśla to B. Łopuszański — pierwszą organizacją konspiracyjną, „która odrzuciła hasła konspiracji regionalnej, skierowanej przeciwko jednemu tylko zaborscy”, formułując programowo prowadzenie działalności w skali ogólnokrajowej w celu przygotowania powstania, wymierzonego przeciwko wszystkim zaborscom. W porównaniu z poprzednimi polskimi organizacjami Stowarzyszenie miało wreszcie — co akcentuje jego monografista — szersze podłoże społeczne, „w związku z czym wyjątkowo istotny problem klasowy znajdował w programie spisku realniejsze odbicie. Sprzysiężenie to zdecydowanie zerwało z elitaryzmem i oparło się w dużej mierze na młodej inteligencji polskiej, wywodzącej się głównie z elementów drobnej szlachy, szlachty zdeklasowanej oraz mieszczaństwa”. Taka stosunkowo szeroka jak na owe czasy podstawa społeczna organizacji, okoliczność, że Stowarzyszenie nie zostało zmagoryzowane przez szlacheckich posiadaczy ziemskich, warunkowała możliwość bardziej trzeźwego, niż gdzie indziej spojrzenia na stosunki społeczne na wsi. „W programie Stowarzyszenia po raz pierwszy bowiem chłop stał się podmiotem działania, a zagadnienie aktywizacji mas chłopskich, bezpośredniej wśród nich agitacji znalazło się w ujęciu licznych konspiratorów na pierwszym planie”.

Książka B. Łopuszańskiego pozwala nam przypatrzeć się z bliska również innym, ważkim zagadnieniom z dziejów polskich ubiegłego stulecia. Jednym z współtwórców Stowarzyszenia Ludu Polskiego był wybitny poeta Seweryn Goszczyński, jednym z jego najbliższych współpracowników będzie człowiek, który w przyszłości zostanie znanym historykiem, Lesław Łukasiewicz. O Stowarzyszenie bądź inne spiski i konspiracje polistopadowe ocierają się ludzie, którzy w przyszłości zaznaczyli się na polu literatury lub nauki: wybitny historyk Karol Szańoch, poeta, publicysta i historyk August Bielowski i inni. Konspiracyjna przeszłość będą mieli także ludzie, których byśmy o to nigdy nie posądzali. Był bowiem w swej młodości konsratorem zarówno minister Florian Ziemiałkowski, jak polityk Franciszek Smolka, był nim także — zaskocznie tu największe — kardynał Albin Dunajewski, później ostoja polityki Stańczyków w Galicji.

LEKTOR

MUZYKA

ZYGMUNT GZELLA

„BARON CYGAŃSKI”

Ileż to już razy, także i w „Odgłosach”, wieszczono zmierzch operetki, która się „przeżyła”, jest „reliktem” dawnej epoki, nie może już zafrapować współczesnego odbiorcy itd. A tymczasem — w samej tylko Łodzi — operetki wystawiają aktualnie trzy teatry: najbardziej do tego powołany Teatr Muzyczny, Teatr Nowy, który po „Operetce” Gombrowicza i Klesiewetera zapowiada już następną, wreszcie Teatr Wielki, powołany przede wszystkim do uprawiania tzw. wielkiego repertuaru (nie mówiąc już o Teatrze Powszechnym czy Teatrze 7.15, nader często wystawiających komedie i farsy muzyczne, a także pokrewne gatunki). Tak więc operetka cieszy się u nas dużym wzięciem nie tylko u publiczności, lecz i w dystrybucjach teatrów. To, że różne teatry muzyczne (także i dramatyczne) w tym samym mieście grają podobny repertuar — nie wydaje mi się strasznym. Sądzę raczej, że o wiele bardziej właściwa jest specjalizacja repertuarowa, jednakże, jak się okazuje, nie

jestem jeszcze na etapie sensownego, globalnego planowania repertuaru w naszych teatrach, co oczywiście nie przekreśla i nie obniża rangi poszczególnych jednostkowych osiągnięć.

„Barona cygańskiego” J. Straussa w TW, którego premiera odbyła się 5 lipca, miałem okazję zobaczyć dopiero we wrześniu. „Baron” zachwyca przede wszystkim muzyką. Libretto, uznane kiedyś za jedno z najlepszych, nie bardzo już wytrzymuje próbę czasu. Nie interesują dziś nikogo historyczne uwarunkowania akcji, nie przekonują patriotyczne uczucia Cyganów dla monarchii Austro-Węgier, natomiast bawi i zwraca uwagę przeprowadzona intryga, śmieszne charakterystyczne typy ludzi, podobają się sceny rodzajowe i niezmiennie od blisko 100 lat porwują czar strausowskiej muzyki. Odnajdujemy w niej nowe u Straussa tony węgierskie i cygańskie, nadające jej, obok typowych dla kompozytora walców i polek, charakterystyczne piętno. Ten

szczególny ludowy charakter cygańsko-węgierski nie został jednak dostatecznie wydobyty i podkreślony. Wydaje mi się, że kierownik muzyczny spektaklu, Tadeusz Kozłowski, zbyt klasycystycznie potraktował interpretację partytury Straussa, choć przyznać trzeba, że przygotowanie muzyczne jest na ogół staranne, a niektóre fragmenty brzmią wręcz znakomicie. Zaliczam do nich w pierwszym rzędzie precyzyjnie wypracowane ansamble wokalne, zwłaszcza uroczy kwintet w I akcie, liczne duety i tercety, a także wielkie finały kończące poszczególne akty. Dobrze spisał się soliści. Wybiła się spośród nich zachwycająca pięknym śpiewem i doskonałą dykcją odtwórczyni roli Saffi — Teresa May-Czyżowska. Z wykonawców ról męskich wyróżniłbym Zbigniewa Studera za świetne aktorskie ujęcie charakterystycznej postaci Zsupana. Pięknym śpiewem popisała się Stanisława Szopińska (Czipra), bardzo dobrą parę amantów tworzyli — pełna temperamentu Maria Szczucka-Kudanowska i Roman Werliński (Arsena i Otokar). W wielkiej roli tenorowej Barinkay'a wystąpił Jan Kunert, dobrze radzący sobie z wysokimi „górami” partii wokalne, nieco gorzej z zadaniami aktorskimi. Obydwie strony: wokálną i aktorską harmonijnie łączył Zdzisław Krzywicki (Homonay), znakomicie ze swego zadania wywiązała się Lidia Skowron (Mirabella); u Stanisława Helmbergera (Carnero) na plan pierwszy wysuwało się dojrzałe aktorstwo. Chór przygotowany przez Zbigniewa Pawełka śpiewał poprawnie, choć nie bardzo „świeżo” (co może brzmieć paradoksalnie, ale chyba oddaje właściwie istotę

rzeczy) zbyt mało też różnicował dynamikę.

Reżyser, Wolfgang Weit (NRD) nie stawiał chórowi zbyt wysokich wymagań. Większość scen z chórem potraktował statycznie, główną swą uwagę kierując na działania aktorskie solistów. Ich teatralny efekt byłby niewątpliwie większy, gdyby orkiestra akompaniowała nieco ciszej. Wiodący zespół nie osiągnął jeszcze po przerwie urlopowej pełnej formy, bo grał nie bardzo precyzyjnie pod względem metrycznym (uwerturna) i intonacyjnym (polka „Tritsch-Tratsch”), bez wyrazu i zbyt głośno, chociaż dyrygent czynił wysiłki (niekiedy skuteczne) w celu uzyskania piana. Skutek wiadomy — co najmniej połowa tekstów śpiewanych nie dochodziła do słuchacza.

Tańce w układzie Tomasza Golebiewskiego dodają spektaklowi dużo blasku (uznanie dla męskiej grupy baletowej). Kostiumy Wojciecha Zielezińskiego były piękne, zwłaszcza malownicze stroje huzarów, cygańskie bowiem nie bardzo przypominały znane nam ich ubiory. Chwałę również dekoracje (W. Zieleziński), które nie zagrażały sceny, pozostawiając sporo miejsca dla działań zespołu aktorskiego. Raził natomiast w warstwie wizualnej brak charakterystyki — owe blade twarze i blond włosy wielu Cyganów.

W sumie przedstawienie niezłe, choć nie rewelacyjne. Któż jednak nie zechce zobaczyć po raz pierwszy lub odświeżyć sobie w pamięci „Barona cygańskiego”, jednej z najlepszych operetek światowego repertuaru.

Relacja ze spektaklu w dniu 18 września 1975 r.

Pospiesznie zbiegała ze schodów. Przypomniała sobie, że dzisiaj właśnie prowadzi apel w szkole. Ma ogłosić dni czynu społecznego. Wczoraj treść apelu wywołała w jej klasie mały szumek. Kilku chłopców szemrało:

— Co jest? Naszą szkołę zamieniono na szkołę sprzątaczy? Wolimy matematykę i fizykę aniżeli sprzątanie i pranie.

A dzisiaj znowu, tuż po apelu, jedna z jej uczennic wpadła na pomysł.

— Powinni nam dać ochronne rękawiczki do mycia klatek schodowych i okien.

Następna dorzuciła:

— I po flaszce kremu do rąk. Może być „kez”, bo jest dobry.

Przyznała rację swoim wychowankom.

— Tak, powinni dać ochronne rękawiczki. Macie bardzo ładne i wypielegnowane ręce i takie trzeba zachować jak najdłużej. Kiedys jednak będziecie musiały poświęcić ich piękność i delikatność.

Kilka dziewcząt odezwało się nagle:

— Pani uważa, że my nie nie robimy w domu?

— Wiem, że pomagacie. Tylko że dom to nie jedynie własne mieszkanie. Ulice, skwery, parki, powietrze — to przecież również jest częścią waszych domów.

— Świetnie! Porządkujemy więc naszą ulicę. A klatki schodowe niech myją ich przyszli mieszkańcy, albo zmuszą zarząd spółdzielni do wywiązania się ze swych zobowiązań.

Załowała w tej chwili swojej pochopnej decyzji, którą uczyniła z klasy częścią Hyde-Parku. Nie mogła narzucić swej woli, a zbyt krótki okres pozostawał, by ich przekonywać. Trzeba było natychmiast szukać innego rozwiązania.

Podczas dużej przerwy udała się do kancelarii. Na jej widok sekretarka zawołała:

— Jak to dobrze, że się pani zjawia! Ktoś z nas ma zdolności telepatyczne. Właśnie pani dyrektor chciała panią zobaczyć.

Przyleciała została bardzo ciepło. Spłoszyły ją po prostu słowa:

— Droga koleżanko, niech pani siada. Trochę dłużej potrwa nasza rozmowa.

Coś się za tym kryło. Postanowiła wysłuchać najpierw swego zwierzchnika, a potem przedstawić prośbę o zmianę pracy społecznej dla swojej klasy.

Na biurku pojawiła się papierowa teczka wypchana dokumentami.

— Oto moja sprawa do koleżanki. Typuję panią na lekcje poza szkołą, do upośledzonego dziecka. Z tytułu miejsca zamieszkania powinno ono uczęszczać do naszej szkoły, lecz jak się zorientowałam już nadaje się wyłącznie do szkoły specjalnej. Matka jednak nie wyraża zgody. Oczywiście nie zdaje sobie sprawy, że swoją decyzją noże tylko zaszkodzić dziecku, a nam przysparza wiele kłopotu. Przyjęcie takiego dziecka w połowie roku szkolnego byłoby absolutnym nonsensem z krzywdą dla naszej młodzieży, pedagogów, a przede wszystkim samego dziecka. Będzie wciąż wystawione na śmiech i upokorzenie, a lekcje będą rozbite. Potrzebny jest w tej sytuacji nie tylko pedagog w ścisłym tego słowa znaczeniu, ale i człowiek obdarzony wielką intuicją.

Pani dyrektor, o ile mi wiadomo, to tym dzieckiem opiekowały się już koleżanki.

Uwaga ta jakby ostudziła temperaturę słów dyrektorki, uśmiechu, gestu. Powtórzyła raz jeszcze:

— Zaznaczyłam już koleżance, że w tym wypadku nie wystarczy tylko pedagog. Ma koleżanka jakieś ważne powody, dla których odmawia?

— Mam duże zastrzeżenia do mojej intuicji, nawet jako i pedagoga.

— Ma parę tendencji do obniżania własnej wartości. Wiemy o tym dobrze wszyscy.

Dzwonek ogłaszał koniec dużej przerwy. Na korytarzach wygasł hałas.

— Jeszcze jedna sprawa. Koleżanko, czy chce pani, żeby te lekcje odbywały się w ramach godzin lekcyjnych, czy też pozalekcyjnych?

— Przez pierwszy tydzień wolabym po lekcjach. Muszę mieć więcej czasu na zorientowanie się, poznanie dziecka i przede wszystkim sama przestawić się psychicznie. W moim życiu jest to nowa rola, nauczycielki domowej i to dziecka upośledzonego. Potem prosiłabym w ramach godzin lekcyjnych.

— Od kiedy mogłaby pani rozpocząć lekcje?

— Od dzisiaj.

— Wypadają mi już tylko życzyć sukcesów. Muszę się przyznać, że jestem niezwykle ciekawa.

Przypomniała o sprawie swojej klasy. Zreferowała ją krótko. Dyrektorka uniosła ręce, co oznaczało gest poddania się.

Koleżanko, pani decyduje.

Była zaskoczona ustepliwością swego zwierzchnika. Nigdy dotąd tak chętnie nie zgadzała się na wprowadzenie zmian w zakresie prac społecznych, przydzieleniu poszczególnym klasom. Ta ustepliwść wiązała

się niezawodnie z przyjęciem przez nią nowego obowiązku.

Opuściła gabinet dyrektorski, trzeciego dyrektora w swej karierze pedagogicznej. A na pamięć wciąż wracał pierwszy dyrektor. Tkwiło w nim

ne. I jakby się ona rozstrząsała, wyzwalając na obecnej swej powierzchni całkiem już inną strukturę. Wełskając się w fotel powiedział spokojnie, z zadumą:

— Angażuję panią. Doskonale po-

dorównała pierwszemu. Jej posunięcia były czasem wprost bezcelowe, jak na przykład ostatnio wysadzanie wokół boiska szkolnego czarnej mowy, lub wykład o jej wielkiej pożyteczności. Ostatecznie nikt nie miał

Zajrzała do dokumentów małej. Odczytywała kolejno papierki. Najpierw uwagi wychowawcy z poprzedniej szkoły: „Kompletnie sobie nie radzi. Nie potrafi powtórzyć prawidłowo najprostszego zdania. Zaleca się noszenie aparatu słuchowego, zaleca się... zaleca się...”. Przerzucała następnie, od lekarzy-specjalistów. Gdy czytała dosyć pobieżnie te wszystkie opinie, w jej wyobraźni rysował się ludzki kadłubek, patrzący niemo na ludzi i na świat. Wreszcie dziesiątki podań matki, próśb, odwołań. W swej treści — to apele do najsłabszych uczuć ludzkich, płomienne obrony dziecka przed szkołą specjalną i kompletny brak logicznego uzasadnienia.

Zastanawiała się teraz całkiem poważnie, czy nie byłoby najrozsądniej zejść natychmiast do gabinetu dyrektorskiego i oświadczyć: „Przepraszam, dokładnie o dziecku i, niestety, rezygnuję, pani dyrektor. Tym bardziej, że koleżanka Róża i koleżanka Wanda...”. Po chwili doszła jednak do wniosku, że rezygnację może złożyć i jutro, i pojutrze, skoro Róża złożyła po tygodniu, a pani Wanda po upływie dwóch.

Pani Wanda również przyniosła plik zeszytów. Poproszona o pomoc — w sensie rzetelnych obserwacji i uwag o dziecku — odparła z jakimś gorzkawym uśmiechem:

— Koleżanko, może pani nigdy tego nie doświadczy w życiu, czego żyję z całego serca. Dręczy mnie to, że nie mogę powiedzieć o żadnym z moich uczniów „mój uczeń”, bo nie nauczyłam żadnego z nich tego, czego pragnęłam, albo już nawet — jak pragnęłam. Doznaję coraz częściej uczucia jak bym stała w bystrej wodzie i ona mnie tylko omywa, opływa i nie nie zabiera ze mnie. Jestem takim karczem, pnem pośrodku rzeki. To uczucie pogłębiło się we mnie, gdy pewnego dnia posłyszałam z ust moich najserdeczniejszych wychowanków: „Uwaga, nadajnik idzie”. Wiem, że jest w tym część prawdy, jesteśmy w jakimś sensie przekaznikami wiedzy, a nie jej twórcami. A teraz o tej malej. Otóż udało mi się z nią mieć dwa razy lekcje. Właściwie trudno to nazwać lekcjami, raczej spotkaniami, podczas których albo ja, albo jej matka mówiła. Okrażała nas gadające i obserwowała. Miałam złudzenie, że patrzyła na nas jakby z ukrycia, z jakiejś pancernej kasy, której nie potrafilibyśmy otworzyć nawet we dwójkę. Czulałam nerwami te izolacje. Wiedziałam, że nigdy jej nie przebiję. Dlatego zrezygnowałam. Kolega geograf zgodził się mnie zastąpić. On będzie miał coś konkretniejszego do przekazania.

Opuściła pokój nauczycielski myśląc z ulgą: „Chociaż nie bezwładna, nie na wózek, ze zdrowymi nogami i rękami, tylko z chorobą głową”.

Kolega geograf przyjął ją bardzo serdecznie. Po chwili tłumaczył się: — Miałem po prostu pecha, akurat w tym czasie wypadły ferie, potem miałem sympozjum. Zastępowała mnie żona. Kategoriecznie orzekła, że dziecko nie nadaje się do szkoły normalnej. Ale cóż, jej piękna mamusia nie chce słyszeć o postaniu dziecka do szkoły dla opóźnionych w rozwoju, a jakiś psycholog, prawdopodobnie urzeczony wdziękami mamusi podszepnął, że ma prawo nie zgodzić się. I w ten sposób trwa ten taniec koło malej. Teraz z koleżanką wytypowano do niej? Nie chciałabym zapeszać, ale wierzyłabym przedewszystkiem szczytu Everestu przez koleżankę, aniżeli... — umilkł. Po chwili znów odjął: — Najważniejsze chyba w tej całej sprawie to przekonanie pięknej mamusi dziewczynki o szkodliwości uporu. Nie wiem, czy nawet szersze jest w tym wypadku cackanie się z mamusią i córeczką. Dziwi mnie to, że koleżanka dała się wciągnąć w tę historię.

— Zawsze mam czas wycofać się. — Racja. Wszyscy dotąd to uczyni-

liśmy.

Rozmowa z koleżanką polonistką, jak również i z geografem, nie przyniosła jej oczekiwanych wiadomości. Rozjaśniła jedynie to, na którym poruszali się drugorzędni bohaterowie. Postanowiła jeszcze skontaktować się z psychologiem opiekującym się dziewczynką. Pchała ją chęć upewnienia się, czy psycholog zdradza ten paragraf uczynił to wyłącznie dla dziecka, czy dostrzegał tylko piękną matkę i wyrachował, że za tę cenę będzie mógł może liczyć na jej względy. Mógł również to uczynić pod presją cierpienia matki. Ona w tej sytuacji wolalaby obiektywnego psychologa, taką maszynę matematyczną wyliczającą w promilach wszystkie możliwości dwójga rąk, umysłu i wszystkich pięciu zmysłów tego dziecka. Maszynę niewzruszoną na piękno fizyczne kobiet, ani uśmiechającą się wzruszając wadliwym tworem natury, tylko rzeczową i bezsentymentu analizującą tenże twór.

Psychologa nie było. Uczestniczył w zebraniu w jednej ze szkół dziel-

MARIA SIWIŃSKA

AKROPOLIS

wciąż coś z chłopca, tylko przebrane-go w odświętne ubranie. Z każdego jego ubrania jakby wciąż parował zapach łoniczyn, siana. Grzmiał tubalnym głosem, a w trakcie rozmowy wymachiwał ręką jakby odpędzał gryźliwe gzy od koniskiej szyi. Jego dewiza, jako pedagoga, streszczała się w jednym zdaniu: „Dobry pedagog, tak jak dobry żołnierz, nie filozofuje, a tylko ślepo wykonuje swój obowiązek”.

Gdy stanęła po raz pierwszy twarzą w twarz przed swym pierwszym dyrektorem pragnącym z miejsca urobić nauczycielki na swoją modłę, i w trakcie rozmowy wymknęło się jej

myśl. Od jutra nasza szkoła będzie szkołą dżentelmenów.

Mały, jakby tylko zaczyn uśmiechu złągodził surowy zarys ust, oślepili całą twarz.

— Więc miła pani, doszliśmy do porozumienia. Załatwiamy formalności, a od jutra stajemy na posterunku pracy. Szkoła dżentelmenów.

Wydał wtedy policzki, jakby go rozszalał śmiech.

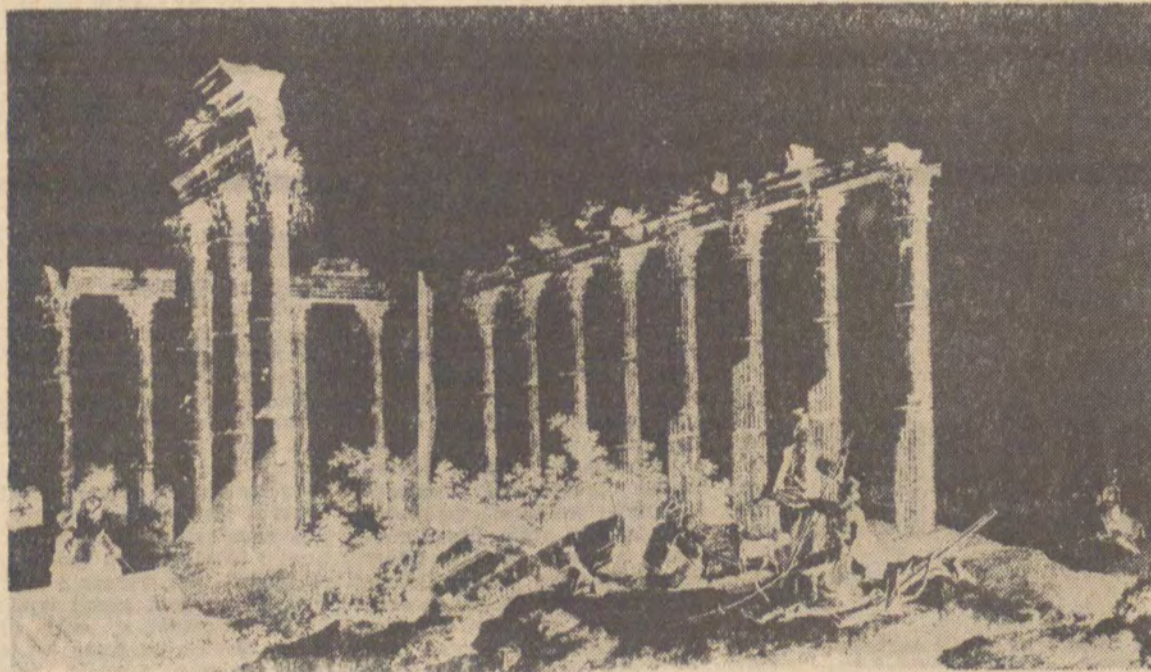
Pozostała, ale odchodziła każdego dnia. Na początku myślała, że dostanie rozstroju nerwowego z powodu ciągłych hospitacji dyrektora i jego uwag w sensie: „Wycisnąć z nich co się tylko da, wycisnąć i z siebie. Mo-

zamiaru zajmować się w szkole hodowlą jedwabników. Szkoła bowiem dawno straciła swój charakter peryferyjny i została włączona do centrum miasta. Przyrodnik siedzący wtedy obok niej szepnął:

— Przy naszym zamierzaniu do wszelkich zmian najkorzystniej byłoby wysadzić eukaliptusy. W ciągu siedemnastu już lat mielibyśmy do wyrabiania gotowe puszcze. Na pewno by się opłaciło.

W pokoju nauczycielskim zastała koleżankę, Różę, która pakując zeszyty do torby powiedziała:

— Słyszałam, że będziesz douczać tę małą. Wiesz, że po tygodniu zre-



Fot.: Archiwum

słowo „uczyłam”, uniósł się na wielkich rękach opartych na biurku i nadwysajac nad nią swym masywnym, skalistym ciałem huknął:

— Co to znaczy uczyłam! Każdy uczy! Kura, nawet żuk, żaba, też uczą swoje dzieci! Więc uczyla pani, czy nauczyla?”

Speszyl ją wtedy jego głos i stawanie kwestii w ten sposób. Wie działa, że jej noga nie postanie tu ani chwili dłużej. W odwecie wypaliła temu uczywilizowanemu neandertalczykowi:

— Tak, uczyłam kultury na co dzień. Kultury w obcowaniu z ludźmi.

Nagle tę bryłę jakby jakaś niewidzialna siła zepchnęła z krawędzi biurka, stoczyła na jego drugą stro-

żę pani być jeszcze wzorcowym pedagogiem. A szkołę dżentelmenów otworzymy chyba już dla ch synków lub wnuków. Tych trzeba napychać wiadomościami jak worki siewne. To cieśle, majstrówie i tkacze terazniejszej Polski!”

Po pierwszej hospitacji, a potem po rozmowie z nim, płakała gorzko w pokoju nauczycielskim. Przyszedł zaraz, zupełnie nieoczekiwanie i pochylając się nad nią spytał:

— Czy to może przeze mnie? Oba policzki nadstawiam dla tych ślicznych rączek, jeżeli tak. — Pochylił przed nią do przodu głowę okrągłą jak globus.

Następny dyrektor był bezbarwny, pozbawiony rysów indywidualności. Ostatnia zaś pani dyrektor nigdy nie

zygnowałam z zaszczytu nauczycielki domowej. Obawiałam się, że po dłuższym nauczaniu trafię do szpitala psychiatrycznego. Wanda wytrwała z nią tylko dwa tygodnie. A znasz jej tolerancję, jej cierpliwość.

Zegnając się przestrzegala jeszcze w zagadkowy sposób:

— Tak to ofiarny koźle śpiesz się i nie zwlekaj, chytry cię wysła, a głupi czeka. — Zaświecili się kpiarsko jej czarne oczy. — No, pa kochanie. Życzę ci sukcesów!

Słowa koleżanki wzbudziły w niej podejrzenie. Zaczyna coraz bardziej utwierdzać się w przekonaniu, że rzeczywistość stała się kolejnym kozłem ofiarnym, że specjalnie załatowano przed nią niepowodzenia jej poprzedniczek.

ZBIGNIEW KUCHOWICZ

TRUCIZNA KIŁA czy RAK?

(Dalszy ciąg ze str. 1)

zakończoną śmiercią, wynikała z ciężkich zmian zapalnych, wśród ropienia i gorączki, może bez żadnego wahania sprawę „otrucia” Barbary położyć raz na zawsze między bajki.

Niechętnie Barbarze kiła jeszcze za jej życia głosili, że chorowała na syfilis, zwany wtedy francuską chorobą lub pospolicie francą. Wersje te przekazywał m. in. dworzanin królewski Stanisław Bojanowski, chorobę francuską podejrzewali zresztą i siostry nawet jej najbliżsi — Radziwiłłowie Rudy i Czarny, jak to wykazała odkryta w latach międzywojennych ich korespondencja. Właśnie zbadanie tej korespondencji spowodowało, iż w historiografii pojawiła się teza głosząca, że przyczyną śmierci Barbary była kiła. Pogląd ten wypowiadał przede wszystkim wybitny historyk Ludwik Kolankowski, powtarzało zaś wielu innych autorów, szczególnie publicystów. Wersja ta, ze względu chyba na skandaliczny wydźwięk i tendencję „odbrańzowania” postaci historycznych, zdobyła znaczny rozgłos i była powtarzana w wielu odciskach, tak w okresie przedwojennym jak i powojennym.

Pogląd ten jest mylny, Barbara

nie zmarła na kiłę. Należy podkreślić, że opinie o syfilisie rozpowszechniali ludzie niekompetentni, nielekarze, wypowiedzi Radziwiłłów nie opierały się również na pewnikach, zastanawiali się, czy fakt ten odosił nie lecącemu ją medykowi. Pogląd, iż cierpiała na odrzucającą „francę” rozprzestrzenił przede wszystkim plotkarze i oszczerzy, usatysfakcjonowani, że prowadząca bujne życie miłosne królowa umiera na chorobę wstydliwą, kończy przedwcześnie nekana wrzodami i cuchnącymi odchodami, niby skarana przez niebo rozpustnica.

Kiłę spotykało się w połowie XVI wieku, szczególnie wśród kół dworskich, bardzo często, stąd zwano ją też „chorobą dworską”, „chorobą pospolitą”. W związku z tym znano jednak dość dobrze jej przebieg, objawy, skutki. Syfilis leczono wówczas całym wachlarzem środków, spośród których można wymienić rośliny tropikalne, przede wszystkim zaś skuteczną rtęć. Żadne źródło nie potwierdza zaś, by królowej podawano środki przeciwiłkowe. Wspomnienie w popularnych wypowiedziach, iż „receptury” świadczy o syfilisie Barbary stanowi wyraz czystej fantazji. Nie możemy zaś ówczesnych medyków osądzać o taką naiwność, by nie zdawali sobie sprawy, że pacjentka toczona jest powszechnie znaną

chorobą. W tej sytuacji ratowali ją różnymi specyfikami, przede wszystkim merkuryszem, nie zaś omalbeżradnie przypatrywali się wielomiesięcznemu konaniu. Nie był chyba laikiem w sprawach chorób wenerycznych Zygmunt August, który przecież nigdy nie podejrzewał tego schorzenia u żony. Skądże zresztą miało wystąpić u Barbary po kilku latach wyłącznego współżycia z mężem, który nie odczuwał żadnych dolegliwości wskazujących na źródło kiłowe?

W nieprzyjaznej jej opinii dowodem wskazującym na chorobę weneryczną miała być jej nieplodność. Wiadomo jednak, że bezplodność występuje na różnym tle. Nie jest wykluczone, iż stanowiła rezultat złe leczenia rzeżączki. Należy wszakże pamiętać, że u kobiet występuje także tzw. nieplodność pierwotna, wynikająca z wad wrodzonych, czy też występująca na podłożu przebytych chorób, np. zapalenia otrzewnej, jajowodów. Nasuwa się jeszcze inna hipoteza. Wiadomo, iż starsza siostra Barbary miała dzieci w stanie panieńskim, co w stosunkach starożytności nie było czymś skandalicznym. Pod wpływem polonizacji obyczajów fakty takie poczęto jednak uważać za niedopuszczalne, zdaje się, że zaszkodziły one samej Annie, która miała przecież trudności z zamałdowaniem. Perturbacje siostry mogły zdominować Barbarę do stosowania środków nie tylko przeciwdziałających zapłodnieniu lecz także poronnych. Lecznictwo domowe znało ich wiele, w tym celu stosowano preparaty roślinne lecz czasem nawet chemiczne, np. wprowadzaną wtedy do lecnictwa rtęć. Wiadomo, że przedozowanie tych środków prowadzi do poważnych powikłań. Można przypuszczać, iż przeciwdziałając niepożądanym ciążom Radziwiłłówna spowodowała u siebie bezplodność, wiadomo że często kobiety nie mogą zająć w ciąży właśnie po poronieniach. Wszystko to są supozycje, można jednak stanowczo twierdzić, że jej bezplodność nie stanowi dowodu, iż zmarła na kiłę.

Według wersji podanej w kronice Orzechowskiego, która możemy uważać za omaloficjalny komunikat dworu Augusta dotyczący przyczyny zgonu, Barbara zmarła „na ciężką chorobę, którą nazywają rakiem”. Pogląd, iż nowotwór stał się przyczyną przedwcześnie śmierci królowej, podzielała większość historyków XIX wieku, ich opinie wynikały wszakże nie z samodzielnych, specja-

listycznych ocen, lecz po prostu powtarzali oni słowa kronikarza, uważając je za rozpoznanie bardziej wiarygodne niż ogólnikowe informacje o otruciu. Historycy, którzy w okresie międzywojennym przyjęli wersję o kiłę, uważali ten sąd za pogląd przestarzały, zaciemniający czy wręcz kamuflujący prawdziwą przyczynę śmierci.

Obecnie możemy stwierdzić, że Orzechowski pisał prawdę, Radziwiłłówna zmarła rzeczywiście na RAKA. Opinię swą opieram na konsultacjach ze specjalistami z zakresu ginekologii i onkologii, jak również na fachowym piśmiennictwie lekarskim. Niemożność przeprowadzenia stosowanych obecnie badań, m. in. cytologicznych, histologicznych, urologicznych, drobne niejasności w opisie choroby utrudniają kategoryczne określenie postaci nowotworu, najprawdopodobniej był to rak szyjki macicy (carcinoma solli uteri). Wskazuje na to wiele przekonujących faktów, które poddaliśmy szczegółowej analizie w oddzielnym studium pt. „Przyczyna śmierci Barbary Radziwiłłówny”, zamieszczonym w „Archiwum Historii Medycyny” (t. 38, 1975), tam też odsyłam zainteresowanych szczegółową motywacją diagnozy. Tutaj tylko zaznaczę, że za przedstawioną tezę przemawiają także poważne objawy, jak m. in. wychudzenie, wyniszczenie organizmu, przebijające powłoki brzuszne przerywy, bóle nękające Barbarę, niedokrwistość, wyraźne zlokalizowanie źródła choroby w narządzie rodym (z którego rozrastał się nowotwór). Na chorobę nowotworową wskazują także reakcje psychiczne. Medycyna stwierdza, że przy tych schorzeniach, m. in. przy wyniszczeniu nowotworowym występują stany stressowe, zaburzenia charakteryzujące się zmniejszoną drażliwością, męczliwością, stanami depresyjnymi. Jak już pisałem, takie objawy dostrzeżono u Barbary na przestrzeni 1550—51 roku.

Momentem potwierdzającym opinię, że Barbara zmarła na raka, są wypowiedzi i reakcje leczących ją medyków. Rak występował w tamtych czasach rzadziej niż obecnie, niemniej medycyna od czasów starożytności orientowała się w objawach i skutkach tej choroby, rozróżniano też raka macicy. Hipokrates leżenie raka uważał za beznadziejne i wręcz szkodliwe, tego poglądu trzymała się również nauka średniowieczna z XVI wiekiem włącznie. — Szkodliwość le-

czenia raka stała się dla większości lekarzy nieomylnym dogmatem, spotykało się tylko nieliczne nowotwory próbujących wycinać i palić nowotwory. Postępowanie lekarzy kurujących Barbarę, notabene najlepszych medyków krajowych, wskazuje, że orientowali się oni w istocie i konsekwencji choroby. Już w grudniu 1550 roku, to jest na sześć miesięcy przed zgonem, kiedy stan pacjentki nie był jeszcze najgorszy, orzekli, że królowa nie wyjdzie z tej choroby. W końcu lutego określali nawet dzień śmierci, licząc się z rychłym zgonem. Fakt, iż nie stosowali radykalnych leków, styszymy tylko o plastrach, psychoterapii, jaką stanowiły zamawiania znachorów, potwierdza, że byli świadomi występowania nowotworu, w związku z czym, kierując się ustaleniami ówczesnej medycyny, nie stosowali zabiegów chirurgicznych, by nie pogarszać sytuacji. Chcieli tylko przeciągnąć życie, licząc się na powolne brzusne ropień, co można uznać za zabieg typowo objawowy. (Znamienne, że nie spieszyli się jednak do operacji stosując inne środki). Dalszym dowodem jest cytowana wyżej wypowiedź Orzechowskiego; w tym przekonaniami kronikarz otrzymał informacje z pierwszej ręki, to jest od lekarzy lub przez otoczenie króla. Zygmunt August śledził druk kroniki i bez wątpienia kontrolował przekazywanie ścisłych informacji dotyczących tak ważnego faktu, jak przyczyna zgonu królowej.

Nie dowierzałbym oczywiście bezkrytycznie opinii Augustowych medyków, gdyby ich pogląd nie potwierdziła obecna onkologia. W ten sposób krąg się zamyka, Barbara Radziwiłłówna zmarła na raka. Sądzę, że to stwierdzenie ostatecznie wyjaśnia przyczynę zgonu królowej.

Na tym kończymy druk obszernych fragmentów monografii prof. Zbigniewa Kuchowicza „Barbara Radziwiłłówna”, która w przyszłym roku ukaze się nakładem Wydawnictwa Łódzkiego. Przedstawiliśmy siedem spośród piętnastu rozdziałów książki, dokonując szeregu skrótów ze względów technicznych, zwłaszcza z odnośnikami, gdzie opuszczona została szczegółowa analiza medyczna objawów choroby Radziwiłłówny. Szadm więc, że zainteresowani naszym cyklom Czytelnicy z ochotą sięgną po książkę Zb. Kuchowicza, by dokładniej zapoznać się z historyczną rolą niekiedy królowej w ówczesnych politycznych i kulturalnych dziejach Polski.

CENTRUM TAJNEGO FRONTU I

(Dalszy ciąg ze str. 1)

mym centrum tegoż frontu, to znaczy na terenie Szwajcarii. Dzięki swojemu szczególnemu położeniu w centralnej części Europy zachodniej Szwajcaria w czasie ostatniej wojny odgrywała wyjątkowo ważną rolę strategiczną. Przepolowała oś Berlin — Rzym. Przez jej terytorium wiodły drogi tranzytowe, łączące Niemcy z Włochami. Słynne ze swojej wysokiej jakości wyroby szwajcarskiej mechaniki precyzyjnej oraz silnie rozwinięta produkcja aluminium przedstawiała dużą wartość dla przemysłu wojennego każdego z państw prowadzących wojnę, a zwłaszcza dla Niemiec. Między innymi z tych właśnie względów Szwajcaria stanowiła ważne ogniwo w strategicznych planach hitlerowskiego dowództwa. I choć do realizacji ich nie doszło (byłoby to zresztą równoznaczne z włączeniem Szwajcarii do niemieckiego imperium), choć kraj ten ominęła pożoga wojenna, choć pozostał oazą wolności w okupowanej Europie, stał się również terenem wojny, mianowicie wojny wywiadów. Ze względu na wspomniane już szczególne położenie geograficzne (w samym centrum Europy), Szwajcaria już przed wojną przyciągała baczną uwagę wywiadów wojskowych obojczych mocarstw, takich jak Anglia, Francja, Niemcy, Włochy i Związek Radziecki. W momencie wybuchu wojny, a tym bardziej w czasie jej trwania, to zainteresowanie Szwajcarią bardzo poważnie wzrosło, toteż bez przesady można stwierdzić, że owa bezkrwawa wojna na jej terenie miała niekiedy decydujące znaczenie dla losów całych kampanii toczonych na polach bitewnych naszego kontynentu.

Jak już również wspomniano, dopiero stosunkowo niedawno pojawiły się relacje i opracowania dotyczące tego interesującego i zarazem niezwykle tajemniczego wyniska historii ostatniej wojny. Wśród prac dotyczących tej problematyki można wymienić książki autorów francuskich: Pierre Accoce'a i Pierre Queta „La guerre a été gagnée en Suisse” (Wojna została wygrana w Szwajcarii), wydana w 1967 roku, która ciekawie, choć nieco tendencyjnie przedstawia wydarzenia rozgrywane się w centrum tajnego frontu. Do innych,

interesujących pozycji na ten temat, opublikowanych w Szwajcarii, należą — książka Alphonsa Matta: „Zwischen allen Fronten” (Między frontami), wydana w 1969 roku, która uka-

Niezbyt obfita jest również literatura pamiętnikarska odnosząca się do omawianej problematyki. Do niedawna głównymi jej pozycjami były: wspomnienia Alexandra Foote'a

(1973) zostały opublikowane pamiętniki Sandora Rado, szefa radzieckiego wywiadu, działającego na terenie Szwajcarii przed — i w okresie drugiej wojny światowej. Książka ta rzuciła całkiem nowe światło nie tylko na działalność radzieckiego wywiadu, ale również ujawniła nieznane dotąd szczegóły odnoszące się do kulis pracy poszczególnych szlaków wywiadowczych. Sandor Rado, autor książki „Pod pseudonimem Dora”, to Węgier, kartograf światowej sławy, obecnie mieszkający w Budapeszcie. Grupa wywiadowców, którą kierował w czasie wojny, dostarczała radzieckiemu sztabowi generalnemu wiele niezwykle cennych informacji, które przyniosły znaczne korzyści Armii Czerwonej, zwłaszcza w czasie rozgrywania bitew pod Moskwą, Stalingradem i Kurskiem. Jego książka przyczyniła się również do właściwego naświetlenia roli, jaką odgrywał radziecki wywiad wojskowy w czasie minionej wojny, a w szczególności jego szwajcarska grupa, której działalność była przedstawiana przez autorów zachodnich nie zawsze zgodnie z rzeczywistością.

Zanim przystąpimy do przedstawienia ważniejszych wydarzeń i faktów, składających się na historię szwajcarskiego odcinka tajnego frontu — kilka uwag natury ogólnej.

Wywiad, mówiąc najprościej, to informacje o wydarzeniach, przedmiotach lub ludziach. W sensie funkcjonowania wywiad oznacza z kolei szeroko zakrojoną działalność państwa, tak w czasie pokoju jak i wojny. Jego doniosłą rolę potwierdza historia wojen, niejednokrotnie brak sprawnie działającego wywiadu decydował o porażkach tego czy innego kraju w skali całej wojny. Sprawy związane z wywiadem z racji aureoli tajemniczości, która je otacza, fascynują zawsze szerokie rzesze ludzi. Jednakże pisząc o wywiadzie należy z tego samego względu przygotować się na ograniczenia. Konieczność zachowania ścisłej tajemnicy oraz fakt, iż większość pracy wywiadu nie jest nigdzie rejestrowana, giną w zaw sze w fragmentach rozmów i w spalonych skrawkach depezy, powoduje, że wszystkie opracowania na ten temat są niekompletne. Odnosi się to również do niniejszego cyklu, bynajmniej jednak nie oznacza to, aby należało zrezygnować z próby przedstawienia faktów dotyczących działalności wy-



Fot.: Archiwum

wiadów, a zwłaszcza ich walki o tajemnicę. Toteż w poszczególnych odcinkach cyklu ukazane zostaną, w miarę możliwości chronologicznie, wszystkie najważniejsze, ujawnione dotychczas, wydarzenia nie znane lub mało znane polskiemu czytelnikowi, a wiążące się z zmaganiem sił wywiadowczych na tajnym froncie w Szwajcarii.

ANDRZEJ BLAJER

WOJNA WYWIADÓW

zuje rolę szwajcarskiego kontrwywiadu na tle walki innych służb wywiadowczych; oraz zupełnie nowa praca Hansa Rudolfa Kurza: „Nachrichtenzentrum Schweiz” (Centrum wywiadowcze — Szwajcaria), wydana w 1973 roku i przedstawiająca wzajemną rywalizację wywiadów: niemieckiego, angielskiego, amerykańskiego i radzieckiego.

„Handbuch für Spione” (Podręcznik dla szpiegów) z 1949 roku, pamiętniki szefa kontrwywiadu SS i w końcowym okresie wojny Abwehry — Waltera Schellenberga (Walter Schellenberg: „Memoiren”, 1959) i książka Allana W. Dullesa „The Craft of Intelligence” wydana w 1963 roku. Do niedawna, bowiem w 1972 roku najpierw w Budapeszcie, a później w Moskwie

Asfalt i beton zalewają ziemię.
Szkło, stal i beton sięgają chmur.
Wrastamy w betonowy pejzaż. Z
betonu i asfaltu wyrastają wstę-
gi kwiaty i rachityczne drzewka. Pe-
dzimy obok nich w rozkręconym
kieracie życia. Wystrojeni w ny-
lon, elanę, bistor, wdychając
smród z fabryk, które je produku-
ją. Zachłystni ciarem czterech
kółek i oparami spalin.
Czy zostawimy po sobie beto-
nowe pomniki odartych z zieleni
miast? My, którzyśmy wyszli z
lasu.

1.

Potega przemysłu i rozwój cywili-
zacji niszczą naturalne środowisko
przyrodnicze. Nie wolno projektować
otaczającej nas przestrzeni wyłącz-
nie z punktu widzenia technologii,
gdyż natura będzie temu przeciwna.
Na szczęście ludzkość ochłonęła z eu-
forii. Pojeliśmy, iż podstawowym
warunkiem rozwoju przemysłu i cy-
wilizacji jest równowaga rozprze-
strzeniania zieleni, która stanowi
wielkie dobrodziejstwo dla mieszkań-
ców aglomeracji miejskich.

Jak przedstawia się stan terenów
zielonych w naszym kraju, mówiono
na ogólnopolskiej konferencji nau-
kowo-technicznej, której organizato-
rem był łódzki oddział stowarzysze-
nia inżynierów i techników ogrodnic-
twa.

Prof. dr inż. Alfons Zielenko z
Akademii Rolniczej w Warszawie
napisał kiedyś, że „od tysięcy lat
dr. two było przyjaciele, bo dawa-
ło owoce, chroniło przed słońcem,
wyznaczało kierunek wędrówek lu-
dzi oraz miejsce wypoczynku w o-
azach na pustyni”.

Wojny, urbanizacja, przemysł niszczy-
ły lasy. Za Mieszka I leśność
kraju stanowiła 80 procent powie-
rchni, w roku 1971 — 27,1 procent. I
tak niele, bo od 1960 roku leśność
wzrosła o 2,7 procent.

Z tym, że miasta w zasadzie są o-
golonione. Tymczasem w silnych
przemysłowych aglomeracjach bliskość
lasu jest niezbędna dla potrzeb od-
nowy sił człowieka poprzez rekreację
i wypoczynek. Pierwszy dostrzegł to
Śląsk, gdzie tworzy się Leśny Pas
Ochronny wokół Górnośląskiego O-

kręgu Przemysłowego. Drzewa i
krzewy to fabryki tlenu, nie mniej
ważne niż fabryki filcu, butów czy
obrabiałek. Jeśli budowlancy i pro-
jektanci nowych osiedli nie skończą
z praktyką łysych placów, na których
żaden krzaczek nie ma prawa oprzeć
się koparce, to kiedyś turyści z Ko-
smosu powiedzą, że talentu nam nie

Kwiaty na asfalcie

brakowało, ale z braku powietrza i
zdolności przewidywania sami po-
łożyliśmy się pod zbudowanym przez
siebie betonowym nagrobkiem.

2.

Silne zanieczyszczenia przemysło-
we powodują, iż osiedla, pozbawione
roślinności, wyglądają brzydko i
przysmębiają. Ale co zrobić, kiedy
drzewa i krzewy nie chcą tam ro-
snąć? Trzeba szukać takich, które by-
łyby odporne na suszę, choroby,
szkodniki, a przede wszystkim na
niedobór wilgotności, który w wa-
runkach miejskich staje się szczegól-
nie dotkliwy. Dobór podany w 1973
r. przez Ministerstwo Gospodarki Te-
renowej i Ochrony Środowiska obej-
muje 669 gatunków i odmian, które
mogą rosnąć w miastach. Sporą, lecz
szkopolną w tym, że nasze szkolkar-
stwo ozdobne z wielu przyczyn, m.
in. decydująca względem ekonomicz-
nych, upada, w związku z czym produk-
owane przez szkółki gatunki nie zawa-
żają się przydatne, a jeśli nawet, to
jest ich zbyt mało.

Fachowcy toczą boje o te lub in-
ne odmiany, określają, które powin-
ny znaleźć się w miastach, a tym-
czasem piekło przeniosły się pod
ściany i na klatki schodowe, bo za-

brakło im drzewek do obskikiwania.
Słuszna wydaje się uwaga docenta
Władysława Bugały, który powie-
dzieć, że zamiast uganiać się za nie-
dostępnymi i atrakcyjnymi towarem,
warto zainteresować się drzewami
łatwo dostępnymi. Dlaczego na przy-
kład nie widzi się w naszych mia-
stach pięknej polskiej brzozy? Brzo-



Fot.: L. Janczak

za posiada najwyższe walory deko-
racyjne, rośnie w najpodlejszej gle-
bie, nie boi się suszy, mrozu ani
smrodu z fabryk.

Okazuje się, że fachowcy od ziele-
ni miejskiej nie potrafili brzozy
prześadzić. A leśnicy robią to na co-
dzień. Leśników wcale nie trzeba
podpatrywać. Wystarczy spytać, aby
się dowiedzieć, że kilkuletnie, poza-
wione odpowiedniego systemu ko-
rzeniowego drzewka z miejsca u-
schną, natomiast młode sadzonki bę-
dą rosnać szybko i zdrowo.

Dwieście lat temu rozkapryszeni
magnaci sprowadzili do kraju pięk-
ne odmiany drzew i krzewów, żeby
w parku było sentymentalnie albo
romantycznie. Jednym z kolekcjoner-
ów, który zgromadził pokątną ilość
odmian, był St. Wodziecki. Gdy u-
marł, syn wszystko wyciął. Dobrze
mu tak! Po co gał, że niektóre nie
wydają nasion, skoro nie wiedział,
jak twierdził dr T. Szymański, że
miał w parku same drzewka—samce?

Dla mnie, dyletanta, nie jest ważne,
jak się parzy drzewko—samiec z
drzewkiem—samica. Mnie się wydaje,
że jeśli szkółki, o których jeszcze bę-
dzie mowa, nie mogą się wyrobić z
produkcją, należy sprowadzać drze-
wa ozdobne i krzewy z zagranicy.
Podobno te najładniejsze rosną na

wulkanach, a że u nas wulkanów nie
ma, więc jest źle.

W naszych miastach powinny zna-
leźć się rośliny dotąd nie znane. Ja-
polskie wiśnie, kasztanowce, peru-
kowce, grusze chińskie, jarzębina,
purpurowe jabłonie. Są piękne w
maju, jeszcze piękniejsze jesienią.
Ogromna skala barw w przebarwie-

Łódzkie osiedla są szare i smutne.
Beton wypiera zielen. W gardzielach
wąskich ulic kłębią się spaliny i
drzewa i krzewy zamierają. Ale
Łódź modernizuje się, rozluźnia za-
budowę, łapie głęboki oddech. Po-
trzebne są Łodzi tysiące drzew,
kwiatów, trawników i krzewów.

W kraju przyrost terenów ziele-
nych w miastach (łącznie z lasami,
cmentarzami, ogródkami działkowymi)
wyniesie do 1990 roku 68.250 ha.
Dla tej wielkości tylko w resorcie
gospodarki terenowej i ochrony śro-
dowiska należy przygotować materiał
roślinny szkółkarski w ilości 30 mi-
lionów drzew i 85 milionów krze-
wów. Według danych sprawozdaw-
czych obecna powierzchnia produk-
cyjna szkółek w miejskich przedsię-
biorstwach zieleni pokrywa tylko 60
procent potrzeb. Szkółki gospodarki
komunalnej i rolnictwa w latach
1974—75 mogą dać razem około 12
milionów drzew i krzewów. Jest to
wciąż ilość niedostateczna.

Aby stała się wystarczająca, należy
zapobiec spadkowi produkcji szkół-
karskiej. Jest wiele przyczyn powo-
dujących ów spadek. Brakuje fa-
chowców. Starzy, jeszcze przedwo-
jenni, wykuszili się, a młodzi nie
garną się do zawodu. Zresztą techni-
ka ogrodnicza i wyższe uczelnie wcale
nie przygotowują do zawodu szkół-
karza.

Trakuje siły roboczej, nie ma kto
pielegnować terenów zielonych.

Szkółki są nie doinwestowane. Nie
ma szkółki do wegetatywnego roz-
mnażania, wodociągów, sprzętu me-
chanicznego, zastępującego pracę
ludzką, a nawet zwykłych łopat
i sekatorów.

Trudno zdobyć nasiona. Niskie ce-
ny na wyprodukowane drzewka i
krzewy nie zachęcają do rozwoju
produkcji. Dobrze, że w bieżącym ro-
ku ukazał się nowy, korzystniejszy
cennik.

Jak widać, niełatwe zadania sto-
ją przed szkolkarstwem ozdobnym.
Ale trzeba nie zniechęcać jak najszy-
biej. Trzeba, ponieważ zieleni znajdu-
je coraz więcej miejsca w kształcie
urbanistycznym miast i osiedli, to-
warzy się nowoczesnym zakładom
przemysłowym, nowym arteriom ko-
munikacyjnym, obiektom gospodar-
czym i innym.

W tej sytuacji bardzo optymistycz-
ny staje się fakt, że przykładem
dynamicznego rozwoju zieleni będzie
Łódź. Plan urbanistyczny rozbu-
dowy i modernizacji miasta uwzględ-
niał wzrost terenów zielonych do
1990 roku o 433 hektary.

Jean Giraudoux napisał kiedyś o
Paryżu: „Chwała miastu, które daje
więcej tlenu swoim zmarłym niż swo-
im żyjącym”.

W Paryżu jest więcej zieleni na
cmentarzach niż w mieście. W Ło-
dź mogłoby być odwrotnie.

RYSZARD BINKOWSKI

SŁOWNIK PISARZY ŁÓDZKICH



Fot.: Włodzimierz Parys

Marek Wawrzkiewicz

Wiśniewskim i Eugeniuszem Zarzyc-
kim. Debiutując własnym zbio-
rem wierszy poetów wprowadzał w
świat literatury Stanisław Czernik.
Po zbiorze „Malowanie na plasku”
wchodzącym w skład wydawnictwa
5 X debiut (Łódź 1960) wydał Wa-
wrzkiewicz do chwili obecnej cztery
tomy wierszy: „Orzech i nimfa”
(Warszawa 1963), „Ultima Thule”
(Warszawa 1967), „Jeszcze dalej”
(Kraków 1968) oraz „Przed sobą”
(Warszawa 1973).

Mimo różnorodnych źródeł inspi-
racji poezja Wawrzkiewicza rozwija się
konsekwentnie w jednym kierunku.
Toteż nie należy się dziwić, iż już u
jej początku możliwe było podanie
trafnej dla niej formuły, ujmującej
zarówno jej specyfikę, jak i niebez-
pieczne dla niej filiacje z poetykami
innymi. We wstępie do „Malowania
na plasku” Stanisław Czernik tak
charakteryzował wiersze Wawrskie-
wicza:

„Wiersze Marka Wawrzkiewicza
reprezentują zasobny nurt refleksji.
Poeta zgarnia — świat rzeczy — i
— świat wyobraźni — do wnętrza i
prowadzi interesującą grę intelek-
tualną. Liryczna refleksyjna z natury
ręczy ciąży ku wzorom tradycyjnym,
wypraktykowanym. U Wawrzkiewi-
cza przeważa formacja, którą można
by nazwać neostafizmem. Kilka razy
poeta skutecznie oderwał się od tej
konwencji”.

Tacy krytycy jak Krzysztof Mętrak
i Michał Sprusiński recenzując póź-
niejsze tomy poety wskazywali na
istnienie w jego twórczości dwóch
sprzecznych tendencji: klasycyzującej
i egzystencjalizującej. Widać ich ist-
nienie bardzo wyraźnie aż po tomik
„Ultima Thule”. W ostatnich wiers-
zach Wawrzkiewicza udało się
dokonać oryginalnej syntezy obydwu
tendencji.

Podstawowe pytanie, które posta-
wił sobie poeta w swojej twórczości,
dotyczyło problemu, jak ocalić w

człowieku podlegającym uniformiz-
ującemu wpływom kultury niepowa-
żność, indywidualność. Kultu-
rę, zwłaszcza w początkowym okresie
swojej twórczości ujmował nieco po-
dobnie jak Jarosław Marek Rymkie-
wicz. Nieprzypadkowo ostatni wiersz
z pierwszego tomiku był jemu dedy-
kowany.

Świat kultury jest u Wawrzkiewi-
cza światem wzorów, powielanych
gestów, powtarzalnych sytuacji. Siłą
ręczy, podobnie jak u Staffa, jak u
Eliota i Rymkiewicza, pojawia się
tutaj liryka roli. Wiersz jest czasem
fabularny, czasem dialogiem. Prowo-
kuje niejednokrotnie do odczytania
symbolicznego, do poszukiwania w
nim archetypów. Ta poezja refleks-
yjna pragnie pełnić funkcję poznaw-
czą. Charakterystyczne są dla niej
takie tytuły, jak „Archeologia”, „De-
finicje rzeczy banalnych”, „Wróżby”,
„Rozmowy o naturze”, „Lekcja ana-
tomii”, „Rozmowy o śnie”.

Zgodnie z rozpoznaniem Ryszarda
Przybyskiego iad współczesnej poe-
zji klasycystycznej nierozdzielnie łą-
czy się z poczuciem tragizmu ist-
nienia. U Wawrzkiewicza tragizm ten
jest uchwyciony poprzez zetknięcie
trwania uniwersaliów z przemijalno-
ścią istnień indywidualnych. Wpro-
wadzenie motywów egzystencjalnych
ukazuje wyraźnie wąską granicę, na
której musi utrzymywać się ta poe-
zja.

Wyraźnie uchwycił te wewnętrzne
sprzeczności własnej postawy twór-
czej w wierszu „Zakończenia” dedy-
kowanym Jarosławowi M. Rymkie-
wiczowi.

I nieuchwytne chwytamy, zamykamy
Między brzmieniami słów, liniami
Ujmujemy rzeczy, tworzymy je, wierzymy,
Istnieniem nadchodzącym zostawiamy
z żalem,
Mierzymy niecierpliwość. Rozpacz
pozostaje.
Nie zmienia się nic w płynności,
W zmienności nie zmienia.
I przemijamy wszyscy jak obłok,
W kwadrat czarny z powietrza schowają
nas inni.

Formuła: „Nie zmienia się nic w
płynności, w zmienności nie zmienia,
I przemijamy wszyscy jak obłok” —
syntetycznie ujmując wewnętrzny
sprzeczność istnienia ludzkiego, która
musi prowadzić do odczucia tragiz-

mu. Jedynym bowiem stałym ele-
mentem, a tylko stałość, trwałość
mogłaby zadowolić człowieka w jego
walce ze śmiercią, z przemijaniem,
jest niestety stałość, trwałość zmian.
Wawrzkiewicz nie zadowala ho-
rajskie carpe diem, a rzeczywistość
istota świata uniemożliwia realizację
ambitniejszych dążeń człowieka.

Swojej definicji człowieka szuka
Wawrzkiewicz stawiając go wobec
natury i wobec kultury. Świat kultu-
ry jest światem społecznym, między-
ludzkim. U Wawrzkiewicza egzy-
stencjalizm Wawrzkiewicza wzbogaca
klasycystyczną koncepcję człowieka
o akcenty tragizmu. Bycie w kultu-
rze, to bycie uprzedmiotowionym,
bycie nieautentyczne, bezosobowe,
przedmiotowe. Taką jest „Stara ko-
bieta imieniem Róża” z wiersza o-
głoszonego w ubiegłym roku w „Lita-
turze”. Trwoga przed ztratą własnej
indywidualności w oczach innych jest
jednym z motywów poematu „Przed
sobą”.

„Wiesz powiedziałem popatrz na mnie
Przysięgam ci bez komedii
Czy mi została chociaż moja ptasia
twarz?”

Ocalenie siebie indywidualnego
jest jednak tutaj tylko za-
pisane jako powszechne pragnienie
ludzi. Zastosowanie ironicznego dy-
stansu, Eliotowskiej formy dialogu,
sprowadza cały problem do sfery u-
niwersaliów, jeszcze raz odbierając
nawet w poetyce wiersza to, co ma
być przedmiotem ocalenia.

Nieco inaczej przedstawia się
kontakty człowieka z naturą. Wyda-
je się, iż właśnie doznania natury
wzbudzają w człowieku tęsknoty do
zachowania, ukształtowania, dozna-
nia własnej indywidualności.

„Kiedy rozmawiasz z każdym tym
Wykultym w piórach morza słonowych
i białych
I kiedy masz obok zielone atole
Gdy je zawiądziesz tym sprawnym
Co mogę ci dać w zamian
Z jasnego snu z płytyk zatok
Niepokoń leśnych traw Pęknięty krzyk
Iskrę ciemnego mrozu i chwilę na skale”.

Doznania natury bowiem jest
czymś najbardziej intymnym, najbar-
dziej indywidualnym. Jednocześnie

jest czymś poza kulturą, więc czymś
nieprzekazywalnym. Tutaj porozu-
mienie międzyludzkie nie jest moż-
liwe. Natura, ze swoją dosłownością,
konkretnością, mimo niustannych
dążeń człowieka obca, nie dająca się
uchwycić w jednoznaczność, nieodwo-
lalną sieć symboli, umożliwia dozna-
nie siebie indywidualnego, ale też
jednocześnie wyłącza nas z kultury,
czyni nasze doznania nieprzekazywal-
nymi, bezwartościowymi w świecie
społecznym. W rezultacie Wawrskie-
wicz podaje jeszcze jedną interesu-
jącą interpretację motywu tak zna-
komicie zanotowanego przez Sępa
Szaryńskiego.

„Cóż będę czynił w tak strasliwym
Waty, niebacznym, rozdwojonym w sobie”

I ten stan wewnętrznej napięcia,
rozdarcia ujmuje jako nieodłączną
cechę istoty człowieczeństwa, przy-
noszącą ból, jednak „nobilizującą go
moralnie. Zakończenie cytowanego
poprzednio wiersza brzmi:

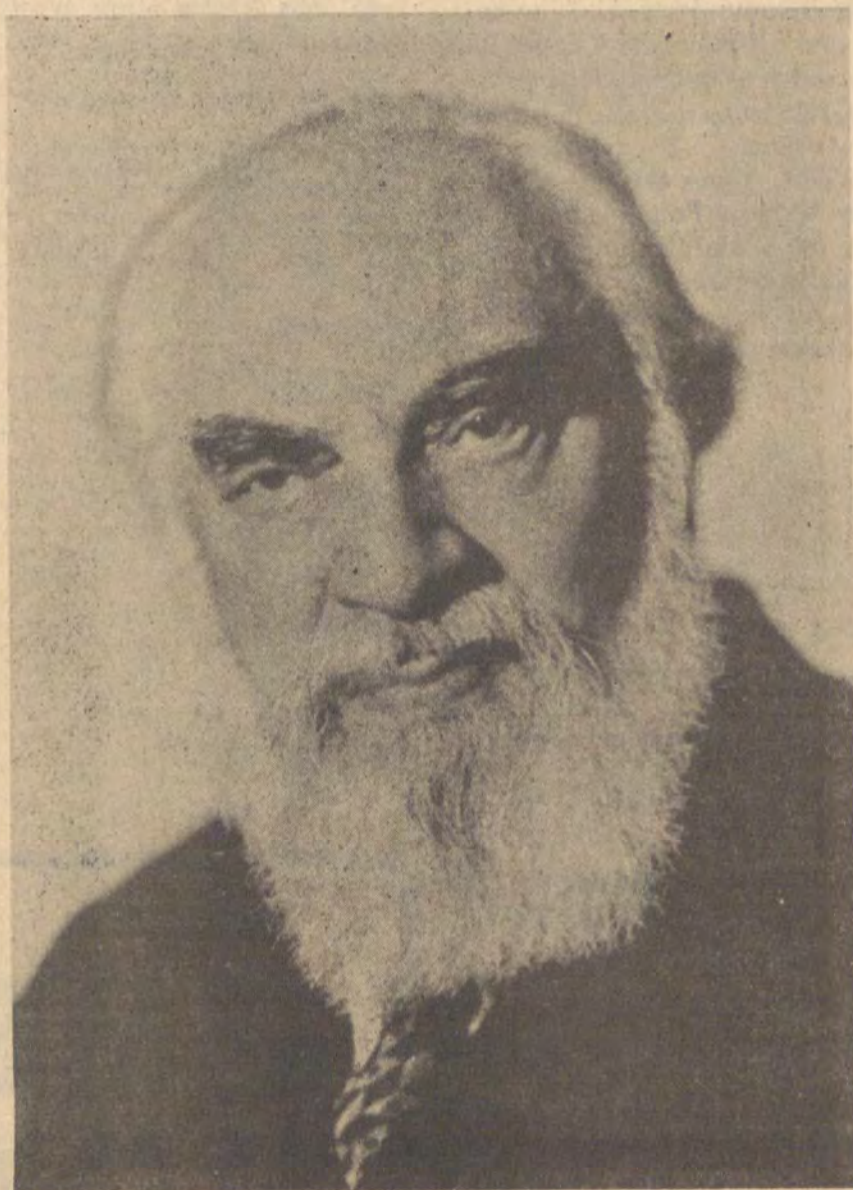
„Zostań już obok mnie i najdalej we mnie
Przeciw nam obajmu

Tak najdoskonalej.”

W ostatnim tomie podjął Wawr-
kiewicz nową próbę odnalezienia sie-
bie w kulturze. Kilka wierszy napi-
sanych „w innych poetykach” jest
poszukiwaniem bardziej intymnej
wzajemnej przeszłości kulturowa
a współczesnymi doznaniem jedno-
stki. Jednocześnie dochodzi do wnio-
sku, że intymność doznania sztuki mo-
że stać co prawda trudno uchwyt-
ną, ale jednak nicią jednoczącą w
ludziach to co najbardziej ich włas-
ne. Poemat o ojczyźnie nosi tytuł
„Wrzechobecna” i ani razu nie po-
jawia się w nim słowo określające
jego główny przedmiot. Bowiem
wiesz, jaka się tworzy między ludźmi
dzięki wspólnej ojczyźnie jest tylko
tak długo realna, istotna, jak długo
pozostaje w sferze intymności, pozo-
staje nie nazwana, nie sformalizowana.
Poszukiwania te wyraźnie zmierzają
do stworzenia syntezy rzeczy dotych-
czas rozdzielnych: natury i kultury,
indywidualności i powszechności, tra-
gizmu i ocalenia.

JERZY PORADECKI

LORD PARADOKS



Ze zbiorów Mirosława Wojalskiego

Ary Sternfeld urodził się w Sieradzu 14 maja 1905 roku, gimnazjum ukończył w Łodzi, studiował początkowo na Uniwersytecie Jagiellońskim, a następnie we Francji w Nancy i Paryżu.

Był jedynym, obok trzech córek, synem sieradzkiego kupca zbożowego. Ojciec, człowiek solidny, zrównoważony, dzielił sprawiedliwie czas między „interes” zbożowy i literaturę religijną. Matka — bystra, inteligentna kobieta — taką pozostała w pamięci sieradzan, żyła wobec własnych dzieci wielkie ambicje, koniecznie chcąc im zapewnić wykształcenie wyższe. Uczeń początkowej szkoły sieradzkiej nie sprawiał swoim wychowawcom kłopotu, choć poza nauką pasjonowało go wiele innych rzeczy, choćby warsztat naprawczy w narożnym podwórku jednego z domów rynekowych.

Wspomnienia o rodzinnym mieście nie zatarły się nawet po kilkudziesięciu latach, kiedy w swym liście, pisanym 23 kwietnia 1955 roku do ówczesnego Prezydium Rady Narodowej miasta Sieradza wybitny uczony pisze:

„Pamiętam dobrze każdy dom na rynku i w głównych ulicach... i to podwórko z warsztatami naprawy w głębi, w których w mojej dziecięcej wyobraźni zrodziła się technika XX wieku. Tu się bawiłem i marzyłem o wielkich wynalazkach i odkryciach. I tu „wynalazłem” lewar zgłęty do wylewania wody z ciężkiej beczki. Starsi nie pozwalali chłopcom brudzić cennej deszczówki zarzuciwszy im puszki...”

Gimnazjum uczony pamięta doskoła. W liście sprzed paru miesięcy wspomina samotnie, duże drzewo na dziedzińcu szkoły. Możemy to sprawdzić i dziś: na dziedzińcu szkoły przy ul. M. Buczka 21 rzeczywiście rośnie okazała wierzba płacząca. Tylko szkoła już inna — jest to Szkoła Podstawowa nr 88 — pierwsza w Łodzi szkoła specjalna. Wówczas było to gimnazjum żydowskie, jedno z nielicznych, i jak pisał uczony:

„...nauka obejmowała normalny program gimnazjalny plus przedmioty specjalistyczne w języku hebrajskim, czyli właściwie dwie matury...”

...w roku 1923—24 byłem studentem wydziału filozoficznego Uniwersytetu Jagiellońskiego, który z tytułem magistra ukończyła również moja siostra. Tu z gorliwością nowicjusza uczęszczałem na wykłady fizyki doświadczalnej, prof. dra Zakrzewskiego, matematyki — prof. dra Sleszyńskiego i astronomii prof. dra Witkowskiego. Tu z zapartym tohem słuchałem dra Jeżewskiego, opowiadającego o ciałach promieniotwórczych, dra Stocka, mówiącego o teorii kinetycznej gazów, i innych wykładów...”

Po roku studiów, z kilkuset frankami zjawia się w Nancy, gdzie zostaje zarejestrowany w biurze dla cudzoziemców. W nędznej mansardzie przy ulicy Jean Lamour pokonuje za trudnością kłopoty obcego sobie języka, ale w ciągu trzech lat kończy w 1927 roku Instytut w Nancy. Opuścił go jako drugi z 31 finalistów

z 15 punktami. Został inżynierem mechanikiem. Już wtedy szkicuje na skrawkach papieru kształt elipsy o długości wyobrażającej 400 tysięcy kilometrów i obiegającej dwie małe kule: Ziemię i Księżyc.

Lipiec 1927 roku: Paryż i wielkie nadzieje zrealizowania swoich marzeń. Pracuje w fabryce w Boulogne — Billancourt. Mieszka w małym pokoju. Pochłania wszystko, co dotyczy wiedzy ludzkiej o podboju przestrzeni międzyplanetarnej. Jego bogami w tej opoce są: wielki uczone rosyjski Konstanty Ciolkowski i pionier astronautyki francuskiej Esnault Pelterie. Wtedy też nawiązał korespondencyjny kontakt z Konstantym Ciolkowskim.

Marzy ciągle o podboju przestrzeni kosmicznej i te marzenia stanowią dla niego sedno życia. Nie widywano go w miejscach publicznych, rozrywki, nie pije i nie pali, pracuje samotnie, nie widuje znajomych. Astronautyka to jego miłość jedyną. Po powrocie ze studiów w Paryżu 27-letni naukowiec zamieszkał u rodziców w Łodzi, u zbiegu ulic Śródmiejskiej i Wólczańskiej (obecnie Włocławskiego 21).

Tu przez półtora roku pracował po 12 godzin dziennie, samotnie, przy olbrzymim stole, i nikomu nie wolno było odrywać go od zajęć. Pisał dzieło swego życia: „Wstęp do kosmonautyki”. Najwięcej czasu pochłaniały mu obliczenia orbit przyszłych satelitów i statków kosmicznych. Dokonywał ich na arytymetrze, który wypożyczał niezbyt legalnie co sobotę jego znajomy z „Włocławskiej Manufaktury”, wynosząc pod połą płaszcza — jak literacko opisał to jeden z historyków. W poniedziałek rano maszyna musiała być z powrotem w biurze. Dlatego niedziela należała do najbardziej pracowitych dni Ary Sternfelda.

„Łódź nie była jeszcze w tym czasie miastem uniwersyteckim — pisał uczony w swoim pamiętniku. — Tablice logarytmów naturalnych (wielocyfrowych), tak niezbędnych do obliczenia charakterystyk rakiet nie sposób było tam znaleźć. Nawet zwykłe wielocyfrowe tablice logarytmiczne znalazłem z trudem. Jedyną wówczas w mieście egzemplarz tych tablic leżał najprawdopodobniej przez nikogo nie zauważony, o czym świadczył jego idealnie nieskazitelny wygląd. W szczupłym księgozbiórce łódzkiej Biblioteki Publicznej zarówno jak w innych bibliotekach miasta, nie udało mi się znaleźć dokładnych danych o odległości od gwiazdy Alfa Centaury...”

W takich warunkach w listopadzie 1933 roku został napisany „Wstęp do kosmonautyki” i następnie 6 grudnia tegoż roku zreferowany nielicznemu gronu zainteresowanych jako „Główne zasady kosmonautyki” na zebraniu Sekcji Naukowej Polskiego Towarzystwa Przyjaciół Astronomii w Warszawie.

Mówienie o czymś takim w środowisku doktorów i profesorów astronomii było właściwie rzeczą niezwykłą. Loty kosmiczne traktowano wówczas jako wesołe fantazjowanie.

Tymczasem inż. Ary Sternfeld mówił poważnie, a swe wywody na temat przyszłych pojazdów okołozemskich oraz ich orbit popierał fachowymi wliczeniami. Błądów naukowych w referacie Sternfelda nie znalazłono, bo ich tam nie było, tezy referatu przyjęto jednak chłodno i nieufnie.

W tymże 1933 roku świat przyzywał się dopiero do lotów aeroplanów Lindbergha przez Atlantyk, uchodzących za szczyt technicznych osiągnięć człowieka w dziedzinie awiacji. Myśl o oderwaniu się od Ziemi — wbrew grawitacji — wydawała się niedorzeczna. Jedynie prze wodniczący zebrania prof. Jan Gadowski wyraził entuzjazm i pogratulował młodemu uczonemu.

Inż. Ary Sternfeld nie miał zatem nic do roboty w Warszawie i w Polsce. Opuścił kraj, by szukać szczęścia u obcych. Francuski klimat okazał się nieco lepszy. Francja zwraca uwagę na ambitne tezy nieznanego cudzoziemca. „Wstęp do kosmonautyki” uzyskał uznanie paryskiego Towarzystwa Astronautycznego i tzw. Priv Rep Hirsch — nagrodę zachęcającą do dalszych badań w dziedzinie teorii lotów międzyplanetarnych.

Oczywiście nikt nie myślał tu poważnie o realizacji tych lotów. Orbits które nakreślił uczony w swej pracy określono nawet w Paryżu „krzywymy paradoksalnym”, a sam Ary Sternfeld pozostawiał przydomek „Lorda Paradoks”. Pozwoliłno uczonemu pracować, ale już dysertacji doktorskiej na temat kosmonautyki nie przyjęto. Nikt nie chciał podjąć się jej oceny, poważni uczeni proponowali mu, natomiast, by przygotował rozprawę na temat skrawania metalu.

W Paryżu poznał studentkę romanistyki, z którą bawił się na bruku Łodzi i poślubił ją wkrótce. Był to, poza rodzicami i siostrami, jedyny człowiek, który uwierzył w jego marzenia.

W dalszym ciągu zajmował się kosmonautyką. Na utrzymanie zarabiał pisząc do pism lotniczych felietony w rodzaju dzisiejszych science fiction, albo dokonywał... drobnych wynalazków, np. mimochodem zaprojektował maszynę do robienia beczek, obrabiarńki do drewna, a nawet automat do wyrobu sztucznych pereł.

Nie widząc możliwości kontynuowania swoich prac naukowych przyjmuje propozycję rządu radzieckiego i wyjeżdża w 1935 roku do Moskwy. Tu nie uważano myśli o lotach kosmicznych za fantazję. A oto, co pisał uczony o swoim życiu w ZSRR.

„Moja pierwsza żona, Gustawa, pochodziła z Łodzi, ale poznałem ją we Francji, gdzie studiowała. Była członkiem KPP, a potem Francuskiej Partii Komunistycznej. Razem przejechalśmy w 1935 r. do ZSRR. Wykładała język francuski w jednej z moskiewskich wyższych uczelni. W roku 1938 urodziła córkę Maję, a w 1940 Elwirę. Po ciężkiej chorobie Gustawa zmarła w 1962 roku. Obie córki już dawno założyły własne rodziny, mieszkają w Moskwie. Moja druga żona, Ilza, również pochodzi z Łodzi. W ciągu wielu lat pracowała

w polskiej redakcji Radia Moskiewskiego. Obecnie jest na emeryturze”.

Zaczął publikować w czasopiśmie naukowych i popularnych, a z jego ideami i myślami zaczęło powoli oswajać się społeczeństwo. Wojna nie sprzyjała pracy uczonemu, odczytyła także na dziesiątek lat realizację jego planów. Jeszcze wiele lat po wojnie uważał go niektórzy za „szlachetnego wiojnera”, bawącego się w naukowe przewidywania i obliczenia, ale byli tacy, którzy uważali go za maniaka.

Jeszcze w 1952 roku z jego obliczeń drwili ci, którzy nie wierzyli w radziecką naukę. Ale pękła bomba. Wystrzelony pierwszy radziecki sputnik zaczął krążyć pod orbicie dokładniej takiej samej, jaką obliczył w 1933 roku inż. Ary Sternfeld.

A potem dwa dalsze sputniki krążące po „krzywych paradoksalnych” Sternfelda. A średnia wysokość lotu pierwszych czterech statków sputników wystrzelonych przez Związek Radziecki wynosiła 273,4 kilometra, średnia ilość okrążeń Ziemi 16,0045 razy, średnia szybkość 7753 metry na sekundę.

Rok 1963 przynosi kolejną międzynarodową nagrodę kosmonautyczną. Jego książkę „Lot w przestrzeni kosmicznej”, „Loty międzyplanetarne”, „Sztuczne satelity Ziemi” stały się prawdziwymi bestsellerami, wzbudzając entuzjazm i uznanie na wszystkich kontynentach. Ukazały się one w przeszło 80 wydaniach w 39 językach w 39 krajach. Na jednej z tych książek „Sztuczne satelity Ziemi” lotnicy — kosmonauci Andrian Nikolajew i Paweł Popowicz napisali: „Serdecznie dziękujemy za tę cudowną książkę, na której my, kosmonauci, uczymy się”.

4 maja 1961 roku Ary Sternfeld został doktorem honoris causa Uniwersytetu w Nancy, a w 1963 roku otrzymał międzynarodową nagrodę astronautyczną Galaberta za rok 1962 razem z prof. Alą Masiewicz, Jurijem Gagarinem i Johnem Glennem. Z okazji jubileuszu w czerwcu 1965 roku Ary Sternfeld otrzymał stopień naukowy doktora nauk technicznych honoris causa Akademii Nauk ZSRR.

Ary Sternfeld jest również, poza pracami naukowymi, autorem pasjonującego i znakomitego (po polsku) napisanego pamiętnika. Na kartach jego pamiętnika przewija się barwny korowód wydarzeń i postaci, jakże zasłużonych dla nauki i kosmonautyki. Aż szkoda, że dotychczas nie doczekały się one wydania drukiem w Polsce. Dopiero teraz Wydawnictwo Łódzkie zamierza wydać drukiem jego pamiętniki, zaś Łódzki Oddział Państwowego Wydawnictwa Naukowego zamierza wydać po raz pierwszy w języku polskim „Wstęp do kosmonautyki”.

Za pierwszą swoją ojczyznę prof. Ary Sternfeld uważa zawsze Polskę. Uczony jest honorowym obywatelem miasta Sieradza, utrzymuje do dziś serdeczny i stały kontakt ze swym rodzinnym miastem, odwiedzając je, korespondując i udostępniając swoje prace społeczeństwu miasta Sieradza.

W HISZPANII

Kino hiszpańskie leży jak gdyby na uboczu wielkich rewolucji ideowych i estetycznych, jakie przeżywa film światowy od dobrych kilkunastu lat. Filmowa prowincjonalność Hiszpanii jest pochodną jej sytuacji polityczno-społecznej, którą tworzy dyktatura faszystowska gen. Franco. Kiedy w połowie lat 60-tych w Madrycie nawiązano pod wpływem pomyślnego, ale krótkotrwałej koniunktury pewne ożywienie artystyczne w środowisku filmowym, krytycy w gorącej wodzie kąpani, poczęli w kilku bardziej udanych filmach o zacięciu społecznym upatrywać narodzin „hiszpańskiej nowej fali”. Wkrótce jednak okazało się, że nadzieje były przedwczesne, a nazwiska młodych reżyserów wówczas często wymieniane szybko poszły w zapomnienie. Z wyjątkiem jednego: Carlosa Saura.

Saura zaczął bardzo skromnie, od filmu znanego polskiemu widzowi „Los Golfos”. Była to paradoksalna, utrzymana w konwencji reportażowej relacja z życia madryckich chuliganów włóczących się po peryferiach wielkiego miasta w poszukiwaniu lekkiego zarobku. Już w tym debiutanckim filmie tak bardzo jeszcze surowym artystycznie uderzała drapieżność apolonia i społeczna pasja w podjętym przez reżysera ataku na kilka tradycyjnych mitów zakorzenionych w hiszpańskim myśleniu. Następne filmy Saura również oglądane w Polsce — „Polowanie” i „Ogród rozkoszy” — posiadały już adres polityczny. Saura od badania ponurej rzeczywistości społecznej współczesnej Hiszpanii przeszedł do otwartej krytyki konkretnego układu politycznego warunkującego tę rzeczywistość. Saura nie zawahał się dotknąć wielkiego kompleksu narodowej świadomości, czyli problemu wojny domowej: jej psychologicznych, społecznych, moralnych i politycznych konsekwencji dla życia w dzisiejszej Hiszpanii.

Repertuar zagadnień poruszanych w dojrzałych filmach Saura, ich stylizacja i temperament twórcy reżysera zdawały się zbliżać go do wielkiego Luisa Bunuela. Twórczość Saura rozwijała się od samego początku pod wyraźnym wpływem artystycznej osobowości Bunuela. Mimo iż sam Saura nie ukrywał swej fascynacji twórczością autora „Viridiana” potwierdzonej wszczą wieloma zbieżnościami tematycznymi, czy wręcz fabularnymi, a przede wszystkim ideologicznymi, to jednak istnieje między nimi podstawowa różnica. Bunuel przez całą drogę twórczą rozwijał wątek moralistyczny o ostru antymieszkańskim i antyreligijnym. Bluznierza krytykę Bunuela — surrealisty była wymierzona przede wszystkim w instytucję Kościoła. Saura natomiast obok krytyki moralnej interesuje krytyką polityczną. Uprawia on (wówczas) o wyraźnym antyfaszystowskim charakterze. Bunuel, którego filmy we frankowiskiej Hiszpanii znajdują się na indeksie kościelnym bodaj tylko w jednym utworze poruszają problem faszyzmu, stworzył film analizujący przechodzenie postaw etycznych francuskiego społeczeństwa lat 30-tych w skrajnie prawicowe poglądy polityczne. Myślę o „Dzienniku panny grającej”.

Nieprzypadkowo pojawia się tutaj ten film, bowiem „Anne i wilki” łączy z nim wiele podobieństw. Anna jest angielską guwernantką, która — podobnie jak tytułowa bohaterka u Bunuela — przybywa do bogatego mieszczańskiego domu i nie tylko obserwuje z zewnątrz jego życie, ale również uczestniczy w nim, stając się obiektem erotycznego pożądania domowników. Dom leży na pustkowiu i zamieszkuje go rodzina, w której pod pozorami ustabilizowanego życia czai się patologia. Najwyższym autorytetem cieszy się matka, sklerotyczna historyczka terroryzująca swoich kaprysami całe otoczenie. Władzę w rodzinie w jej imieniu sprawuje najstarszy syn José, właściciel bogatej kolekcji militariów. Drugi syn Juan jest erotomanem, który pragnie uwieść Annę, guwernantkę swoich córek. I wreszcie trzeci syn cierpi na manię religijną, ucieka od otoczenia do pustelnicznej jaskini. Pikanterii całości dodają kilkulatnie dziewczynki rozprawiające o śmierci. Anna wchodząc w to środowisko stopniowo odkrywa świat podminowany zagrożeniem i niepokojem. Jednakże Saura opatrzył obraz cudzysłowem ironii, do zdarzeń wstrząsających do mem i do postaci w nich uczestniczących odnosi się z sarkastycznym dystansem. W miarę upływu akcji filmu jego niesamowita atmosfera zagęszcza się, a realistyczna zrazu historia traci swój początkowy charakter i nabiera cech symbolicznych. Członkowie ponurej rodziny stają się coraz bardziej czytelnymi znakami kompleksów drażniących hiszpańską psychikę narodową. Militarysta José przetrząsa się w uosobienie frankistowskiego faszystowskiego terronu, erotoman symbolizuje za kłamania moralność mieszczańska i obyczajowość erotyczna, a maniak religijny reprezentuje klerykalizm krepusjacy duchową swobodę. Wreszcie matka, która w tej alegorii politycznej, w jaką niepostrzeżenie przekształca się film Saura, staje się personifikacją Hiszpanii, tego ostatniego bastionu politycznego konserwatyzmu w Europie.

Saura osiąga zamierzone efekty symboliczne dzięki celowemu zabiegom stylistycznym, które nasycają jego film nastrojem nierealnym i fantasmagoryjnym. Kluczowe sceny filmu łącznie z nieoczekiwanym, okrutnym finałem dzieją się na pograniczu jawy i snu, ukazują rzeczywistość kreacyjną, nadrealną i wyobraźniową.

Carlos Saura, godny spadkobierca i kontynuator Luisa Bunuela stworzył film, w którym odżyły najlepsze tradycje sztuki hiszpańskiej, sztuki walczącej ze złem w imię humanitarnych idei.

ZASTĘPCA

INAUGURACJA ROKU KULTURALNO - OŚWIATOWEGO

Nowy rok działalności kulturalnej inaugurujemy, kiedy w całym kraju trwa ożywiona dyskusja nad „Wytężnymi KC na VII Zjazd PZPR”. Jest to okres niezwykle ważny w życiu naszego narodu, określamy bowiem podstawowe założenia rozwoju Polski na najbliższe pięć lat. Czynimy to w oparciu o bilans osiągnięć i dokonania w kraju po VI Zjeździe PZPR. Bilans ten jest wysoce pozytywny. Nigdy dotąd w okresie 30-lecia Polski Ludowej w tak krótkim czasie nie dokonaliśmy tak wiele dla poprawy warunków życia ludzi pracy, dla ogółu społeczeństwa i dla każdego obywatela. Dorobek ostatnich lat jest odczuwalny i widoczny na każdym kroku, w warunkach pracy i życiu ludzi, w rozwoju miast i wsi.

Dokonania te widoczne i odczuwalne są także w Łodzi. Wyrażają się one w pomyślnej realizacji programu rozwoju i modernizacji miasta, przekształcaniu go w nowoczesny ośrodek przemysłu, nauki i kultury.

W procesie modernizacji Łodzi uległy poprawie warunki pracy i życia jego mieszkańców. Ponad dwie trzecie załóg pracuje już w warunkach odpowiadających najbardziej współczesnym standardom. Na poprawę sytuacji mieszkaniowej, gospodarkę komunalną, ochronę zdrowia, oświaty i kultury, rozwój usług przeznaczaliśmy w województwie około 17 mld zł. Polepszyliśmy warunki mieszkaniowe dla 54,5 tys. rodzin. Niemalże osiągnięcia notujemy w poprawie warunków socjalnych ludzi pracy województwa. Możemy z satysfakcją powiedzieć, że w dziedzinie polepszenia warunków życia uzyskaliśmy więcej, aniżeli początkowo zakładaliśmy (...).

Program nakreślony w „Wytężnych KC na VII Zjazd PZPR” jest kontynuacją wypracowanych na poprzednim Zjeździe kierunków rozwoju społeczno-gospodarczego kraju. I dlatego też, tak jak to miało miejsce w upływającym pięcioleciu, nadrzędnym celem naszej polityki społeczno-gospodarczej będzie dalsza poprawa warunków życia ludzi pracy. Przedmiotem troski partii był i jest człowiek, jego pozycja materialna i kulturalna, rozwój jego twórczych możliwości.

W ogólnonarodowej dyskusji nad programem rozwoju społeczno-gospodarczego kraju szczególną rolę przypada środowiskom twórczym, organizatorom i działaczom kultury. Wzrasta bowiem znaczenie kultury i twórczości artystycznej w życiu społeczeństwa, w zaspokojeniu jego duchowych potrzeb. Kultura staje się aktywną siłą twórczą w przekształcaniu ludzkiego życia, tworzeniu jego nowej jakości, w nadawaniu mu głębszego sensu.

ROLA KULTURY

Zasadniczym celem rozwoju socjalistycznej kultury i sztuki jest wzbogacanie duchowego życia społeczeństwa, aktywizowanie zbiorowego i indywidualnego uczestnictwa w kształtowaniu przyszłości socjalistycznej Polski. Rozwój gospodarki kraju wpływa w niezwykle istotny sposób na życie umysłowe i kulturalne społeczeństwa. Bez postępu gospodarczego rozwój kultury nie jest możliwy, wzmocnienie zaś dynamiki rozwoju gospodarki zależy od poziomu intelektualnego i stanu kultury społeczeństwa.

Opóźnienia w rozwoju kultury mogłyby okazać się przeszkodą hamującą rozwój społeczno-ekonomiczny, w szczególności zaś procesy rewolucji naukowo-technicznej, wzrost wydajności pracy, usprawnienia funkcjonowania gospodarki narodowej. Toteż efektywność zarówno nakładów jak i pracy organizatorskiej w kulturze oceniać trzeba uwzględniając fakt, iż przy współczesnym poziomie życia ekonomicznego, techniki — poziom kultury jest jednym z donioślejszych czynników dalszego rozwoju kraju.

Zasada nierozdzielności związku polityki, ekonomiki i kultury jest jedną z fundamentalnych zasad procesu budownictwa socjalistycznego. Ta teza VI Zjazdu PZPR określa kulturę, jako integralną część budownictwa socjalistycznego. Przypomina ona, że rozwój kultury nie jest tylko pochodną, lecz jedną z nieodłącznych cech socjalistycznych przeobrażeń.

W ciągu ostatnich lat partia i rząd podjęły szereg decyzji zmieniających sytuację socjalną twórców, pracowników kultury polskiej. Dokonano została regulacja honorariów autorskich w głównych dziedzinach twórczości, rozszerzono także pomoc w upowszechnianiu dzieł plastyków. Objęto ubezpieczeniami społecznymi i opieką lekarską wszystkich twórców nie zatrudnionych etatowo, wszystkim zaś zatrudnionym przysługują dodatkowe urlopy na pracę twórczą. Niezwykle doniosłą decyzję stanowi stworzenie w naszym kraju systemu emerytalnego dla twórców kultury.

Znamienne do odnotowania w skali kraju jest fakt, że w warunkach ogólnonarodowego ożywienia, w klimacie, który zapewnia kulturze wysoką rangę wzrasta udział czynników społecznych w jej rozwoju oraz społeczna odpowiedzialność za jej poziom i treść. Zorganizowane formy

tej aktywności to stowarzyszenia kulturalne, zespoły opiniujące, konsultacyjne itd.

Problemy kultury są przedmiotem obrad instancji partyjnych, związkowych, organizacji społecznych i młodzieżowych. Podejmowane są dyskusje środowiskowe, regionalne. Poszerza się udział załóg w życiu kulturalnym zakładów produkcyjnych, instytucji gospodarczych, przedsiębiorstw. To szerokie zaangażowanie w sprawy kultury jest zjawiskiem niezwykle korzystnym, wzbogacającym wszelkie nasze działania, czyni je bardziej skutecznymi, powiązanymi mocniej z autentycznymi potrzebami środowisk.

WARUNKI DLA KULTURALNEJ OFENSYWY

Szeroka ofensywa kulturalna, zapoczątkowana przez VI Zjazd partii, ujawniła ogromny wzrost potrzeb kulturalnych społeczeństwa. Rangę i miarę problemu ilustrują wyrażenia: corocznie w skali kraju 160 mln widzów w kinach, 34 mln widzów i słuchaczy w teatrach, instytucjach muzycznych i estradowych, 16 mln odwiedzających muzea, 800 tys. stałych uczestników amatorskiego ruchu artystycznego. Wobec tak masowego oddziaływania rośnie odpowiedzialność za wartość prezentowanej sztuki, za jej jakość, wyraz artystyczny i treść ideowo-wychowawczą. Społeczne zapotrzebowanie na dobrą kulturę zobowiązuje twórców i działaczy kultury do stawiania przed sobą coraz ambitniejszych zadań i celów.

Mamy dzisiaj w kraju 4 miliony ludzi z pełnym średnim wykształceniem i 800 tysięcy z dyplomami wyższych uczelni. Jest to inteligencja robotniczo-chłopska, inteligencja w pierwszym pokoleniu, która szeroko sięga po dobrą kulturę najwyższej jakości.

Omawiając rolę i rangę kultury w kraju budującym socjalizm należy spojrzeć na tę dziedzinę życia także w aspekcie ideologicznym. W współczesnych warunkach, konfrontacji ideologicznej, w warunkach pokojowego współistnienia kultura staje się jednym z najważniejszych frontów walki klasowej o oblicze duchowe społeczeństwa w przyszłości. Należy pamiętać, że socjalizm nie jest jedynie odmiennym od kapitalizmu sposobem produkcji. Wzrost poziomu życia materialnego nie zapewni nam moralnego triumfu, który powinien stanowić o wyższym sensie i większej wartości życia w socjalizmie. Właśnie kultura winna tworzyć model i sens ludzkiej egzystencji w naszym ustroju i decydować o naszej przyszłości, o atrakcyjności naszego modelu ludzkiego szczęścia (...).

Nasza kultura jest otwarta na wszystko, co postępuje i związane z humanizmem. Wypowiadamy się za popularyzacją humanistycznych wartości kultury europejskiej, tych wartości, które socjalizm wzmacnia. Jednocześnie w sposób stanowczy przeciwstawiamy się wszystkim, co przynosi ideologiczną szkodę naszemu rozwojowi, wypacza ludzkie postawy. Będziemy się przeciwstawiać rozpowszechnianiu treści dekadentkich, występujących w kulturze zachodniej. Nie zezwolimy, aby pod hasłem „europejskiej kultury” przemycano nam wartości, treści i poglądy szkodzące socjalistycznemu wychowaniu społeczeństwa, stojące w sprzeczności z naszymi ideałami. Nie ma i nie może być koegzystencji w dziedzinie ideologicznej neutralności czy obojętności.

NA ZASADZIE PARTNERSTWA

Na tle ogólnokrajowego ożywienia i wzrostu aktywności kulturalnej coraz większa rola przypada kulturze łódzkiej. Bilans osiągnięć kulturalnych, jakim możemy pochwycić się w naszym regionie, jest znaczący. Wprawdzie bilansowanie dokonano w kulturze jest bardzo trudne, dotyczy ono bowiem często wartości niewymiernych. Nie jest też rzeczą łatwą przedstawić wyczerpującą ocenę powstałych w tym czasie w Łodzi dóbr kulturalnych, dzieł literackich, filmowych, teatralnych, plastycznych czy muzycznych. Niemniej można odnotować kilka charakterystycznych zjawisk w życiu społecznym

miasta, które świadczą o tym, że w okresie ostatnich lat wzrósł prestiż i znaczenie kultury, że nastąpiło ożywienie w twórczości artystycznej i działalności instytucji i placówek kulturalnych (...).

W okresie ostatnich lat nie przeprowadziliśmy żadnego istotniejszego posunięcia, nie podjęliśmy żadnej ważniejszej decyzji bez konsultacji z twórcami i działaczami kultury. Jako zasadę naszego działania przyjęliśmy współpartnerstwo i współodpowiedzialność środowisk twórczych w rozwiązywaniu istotnych dla postępu kultury w Łodzi problemów. Rezultatem szerokiej dyskusji i konsultacji w środowiskach twórczych i działaczy kultury w Łodzi do roku 1980, przyjętego na ubiegłorocznym Plenum Komitetu Łódzkiego. Sprawy kultury były zresztą tematem nie tylko obrad Plenum KL, ale także posiedzeń Egzekutywy, Sekretariatu, a także Komisji Kultury Komitetu Łódzkiego partii.

Dokonywaliśmy analizy pracy partyjnej w środowisku kultury, rozpatrywaliśmy problemy upowszechniania, przeprowadziliśmy analizę sytuacji łódzkiego środowiska plastycznego, przyjęliśmy program rozwoju bazy filmowej. Trzeba podkreślić, że tym działaniom organizacyjnym i koncepcyjnym towarzyszyło znaczne

wartości historycznych i kulturalnych łódzkich zabytków. Działania w tym zakresie służą zachowaniu ciągłości tradycji kulturalnych miasta i wydobywaniu z nich nurtu społecznych i klasowych uwarunkowań.

NIE ZAPRZEPĄCIE SZANSY

Zastanawiamy się jednak, czy wszystkie szanse, które stworzono w Łodzi zostały wykorzystane dla rozwoju kultury. Sądzymy, iż odpowiedź na to pytanie nie może brzmieć jednoznacznie pozytywnie.

W związku ze wzrostem wykształcenia społeczeństwa, wzrostem standardu życiowego, a co za tym idzie, wzrostem poziomu kulturalnego, rosną wymagania w stosunku do prezentowanych wartości kultury. Nasze instytucje artystyczne i placówki kulturalne winny mieć świadomość, że oddziaływać i oddziaływać będą na zleniawiającego się widza. Przed kierownikami artystycznymi tych placówek stawiamy wymagania ustawicznego podnoszenia poziomu propozycji artystycznych. Muszą oni pamiętać, że nie ma podziału na publiczność lepszą i gorszą. Setne przedstawienie winno być równie dobre jak premierowe. Mówimy o tym dlatego, iż dostrzegamy, że nie zawsze i nie

ka jest obojętna. Dotyczy to także młodych twórców, których pasję, talent i wiedzę powinniśmy lepiej wykorzystywać w procesach rozwoju socjalistycznej kultury, a którzy jakże często pozostają pod wpływem przenikających różnymi kanałami obcych nam ideowo zachodnich subkultur młodzieżowych.

Szczególnie krytycznie ocenić musimy działalność kulturalną środowiska studenckiego. Znakomite niegdyś teatry studenckie ledwie „węgują”. Poza jedynym teatrem „77” nie otrzymujemy ze strony tego środowiska żadnych twórczych intelektualnych propozycji. Większego wkładu w życie kulturalne Łodzi oczekujemy od młodzieży szkół artystycznych.

Poważne sukcesy odnotować możemy w realizacji programu — „Sojuszu Świata Pracy z Kulturą”. Pojawiają się jednak tendencje do formalizowania pewnych działań. Zdarza się, że program sojuszu kończy się na uroczystości podpisanej umowy. Zbyt często sprowadza się on do okazjonalnych spotkań. Nie nastąpiło jeszcze pełne przeobrażenie inicjatyw sojuszu w autentyczne działania.

Szereg korzystnych zmian odnotujemy w środkach masowego przekazu. Zwiększyła się ilość kolumn poświęconych sprawom kultury. Nie

AMBITNIEJSZE CELE

ożywienie aktywności twórczej, działania te wyzwoliły wiele energii, oryginalnych inicjatyw i zaangażowania środowisk twórczych, instytucji artystycznych i społecznego ruchu kulturalnego.

ŁÓDZKIE INICJATYWY

Można stwierdzić z całym przekonaniem, że w ostatnich latach nastąpił wyraźny jakościowy postęp w życiu kulturalnym Łodzi. Wzrosła pozycja miasta w tej dziedzinie w skali ogólnopolskiej i międzynarodowej. Łódź stała się miejscem takich wielkich imprez, jak: międzynarodowe Łódzkie Spotkania Baletowe, Triennale Tkaniny Unikatowej i Przemysłowej, ogólnopolskie konkursy choreograficzne, festiwale filmu naukowego i dydaktycznego, przeglądy filmu społecznego i politycznego, festiwal poezji i targi estradowe.

Powodem zostały uwiecznione starania o łódzki zespół filmowy, z którym łączymy duże nadzieje. Wzrostyśmy się o filię Krajowej Agencji Wydawniczej, powstał łódzki przegląd kulturalny „Kalejdoskop”. Jedną z ostatnich inicjatyw kulturalnych jest „Kwartalnik Filmowy” — kronika rejestrująca kamerą najważniejsze wydarzenia polityczne, gospodarcze, naukowe i kulturalne łódzkiego województwa miejskiego.

Ważne przemiany zaszły w łódzkim życiu teatralnym. Wiąza się one między innymi ze skupieniem w ostatnich latach na kierowniczych i artystycznych stanowiskach grona twórców o uznanym osiągnięciach artystycznych. Wysoki poziom reprezentacji Filharmonii Łódzkiej odnosiła poważne sukcesy nie tylko w kraju, ale i za jego granicami, a także z powodzeniem realizująca nowe formy działalności, między innymi poprzez nagrania płytowe, programy telewizyjne itp.

Wiele inicjatyw wysuwa i realizuje środowisko plastyczne. Wyprowadziło ono interesujący program działania, przejawia żywą aktywność w zakresie upowszechniania sztuki, jej związków z miastem, jego mieszkańcami i przemysłem. Z inicjatyw plastyków łódzkich odbywa się wiele imprez o znaczącej randze artystycznej, a zapoczątkowana przed laty współpraca środowiska plastycznego, Państwowego Wyższego Szkoły Sztuk Plastycznych z przemysłem, czyni z Łodzi poważny ośrodek wzornictwa przemysłowego. Na wysokim poziomie znajduje działalność wystawiennicza i upowszechnieniowa Muzeum Sztuki.

Dobrym wyrazem rangi łódzkich środowisk twórczych była ocena wyrażona przez polską krytykę artystyczną, a dotycząca udziału tych środowisk w „Panoramie Kulturalnej 30-lecia” w Warszawie. Dorobkiem ostatnich lat jest także rewaloryzacja

wszystkie prezentacje artystyczne traktowane są przez ludzi sztuki z należytą pasją i zaangażowaniem.

Obecnie pamiętamy także musimy, że utworzenie łódzkiego województwa miejskiego daje większe szanse bezpośredniego oddziaływania naszych instytucji kulturalnych i artystycznych. Aby szanse te mogły być wszechstronnie wykorzystane, z obopólnym pożytkiem dla twórców i odbiorców, należy zwrócić szczególną uwagę na powstające Miejskie i Gminne Ośrodki Propagandy i Kultury. Działalność tych ośrodków winna w istotny sposób wpłynąć na rozszerzenie się infrastruktury kulturalnej w mniejszych ośrodkach miejskich i na wsi. Sytuacja ta oznacza zwiększenie obowiązków instytucji kulturalnych i artystycznych oraz środowisk twórczych, które winny o toczyć troskliwą opieką cały teren naszego województwa, nawiązać bezpośrednie kontakty z działaczami kultury tego terenu.

Jest to szczególnie ważne w okresie, w którym poszerzają się wymiary czasu wolnego. Bezradność wielu instytucji kulturalnych, nieaktywność ich propozycji w wolne od pracy soboty, uświadomiła nam z całą ostrością, iż nie wszystkie instytucje kulturalno-oświatowe przygotowały się należycie do podjęcia tego problemu. Rozwijanie form wypoczynku świątecznego przy równoczesnym znacznym wzbogaceniu działalności kulturalno-rekreacyjnej powinno być traktowane kompleksowo. Celem tych działań winno być dążenie do utrwalenia w społeczeństwie nawyków kulturalnego spędzania wolnego czasu i właściwego wykorzystywania go do regeneracji sił. Kierownictwa teatrów, instytucji muzycznych, estrady winny rozważyć możliwości zapewnienia większej ilości imprez, koncertów i spektakli; placówki BWA, muzea, kina — organizowania wystaw plastycznych, targów plastyki, imprez poetyckich, zwiększonej ilości seansów filmowych itp.

NAJBLIŻSZE ZADANIA

Nie możemy być w pełni zadowoleni z pracy związków twórczych. Ich działalność sprowadza się często jedynie do działań formalnych (organizowanie zebrań, zbieranie składek itp.), nie wypełniają one swojej roli kulturowej, do której zostały powołane. Prowadzona niegdyś dyskusja na łamach „Głosu Robotniczego”, wypowiedzi czołowych działaczy tych związków świadczą o tym, że znalazły się one w impasie.

Niezadowolając przedstawia się praca związków twórczych z młodzieżą. Nie jest dostatecznie wykorzystany potencjał twórczy i kulturalna chłonność młodzieży, a przecież staw-

możemy być jednak i nie jesteśmy zadowoleni ze stanu krytyki artystycznej. Odnotowujemy ona jedynie pewne fakty kulturalne, zbyt mały wpływ na kształtowanie zjawisk artystycznych, nie pobudza twórczej aktywności. Środki masowego przekazu winny szerzej rozwijać krytykę artystyczną, oceniającą dorobek twórców z ideologicznych pozycji marksistowskich. Krytyka artystyczna winna też wspierać te usiłowania, w których kryją się zalety tego co w sztuce nowe i świeże. Zależy nam zwłaszcza na tworzeniu klimatu dla powstawania dzieł związanych ze współczesnością, odpowiadających na ideowe, polityczne i moralne problemy rodzące się w społeczeństwie budującym socjalizm.

Powinna zwiększyć się kulturotwórcza, inspiratorska rola Wydawnictwa Łódzkiego, które w większym stopniu winno skupiać wokół siebie pisarzy, a szczególnie młodzież literacką. Wydawnictwo winno stać się oficyną o randze krajowej.

Łódź, miasto wielkoprzemysłowej klasy robotniczej z jej piękną tradycją i historią, nie stała się dotychczas dostateczną inspiracją w podejmowaniu zaangażowanych tematów społecznych. Łódzkie środowisko literackie mimo wielu osiągnięć nie wykorzystowało w pełni szans i możliwości, jakie daje bezpośredni kontakt z autentycznym życiem ludzi pracy. Imponujące przemiany, jakie toczą się w naszym mieście na oczach nas wszystkich nie znalazły jak dotychczas swojej egzemplifikacji artystycznej.

W Wytężnych na VII Zjazd PZPR czytamy: „Partia jest żywo zainteresowana w tym, aby twórcy kultury trafiali do coraz bogatszej duchowo i coraz bardziej wymagającej rzeszy czytelników, widzów, słuchaczy. Wspólnym obowiązkiem partii i twórców jest troska o socjalistyczną, humanistyczną treść naszej kultury narodowej, o jej kształt ideowy, zgodny z principiami naszego ustroju, z najlepszymi tradycjami polskiej literatury i sztuki.”

Świadomość tego faktu winna towarzyszyć wszelkim poczynaniom, jakie będą podejmowane w nowym roku działalności kulturalnej i w latach następnych.

Z wystąpienia kierownika Wydziału Propagandy i Kultury KL PZPR — Tadeusza Lewandowskiego na inauguracji roku kulturalno-oświatowego w Łodzi.

I SEZONU ARTYSTYCZNEGO 1975-1976

Jak informowaliśmy naszych Czytelników 30 września odbyła się Inauguracja Roku Kulturalnego 1975/76 w miejskim województwie łódzkim. Z tej okazji odbyło się w Komitecie Łódzkim partii spotkanie szerokiej reprezentacji środowiska kulturalnego z władzami miasta. Wstępem do dyskusji był referat tow. TADEUSZA LEWANDOWSKIEGO, kierownika Wydziału Propagandy i Kultury KŁ PZPR. Na sąsiedniej kolumnie publikujemy obszernie fragmenty jego wystąpienia, poniżej zaś omówienie wielogodzinnej dyskusji i podsumowania, którego dokonał tow. ZBIGNIEW FALIŃSKI, sekretarz KŁ PZPR, przewodniczący obradom.

Inauguracja Roku Kulturalnego miała charakter roboczy. Forum ludzi kultury i sztuki bilansując osiągnięcia minionego 5-lecia dokonało jednocześnie otwarcia w tym środowisku dyskusji przed VII Zjazdem PZPR. Dyskusji tej będziemy z uwagą towarzyszyć, a wszystkim zainteresowanym otwieramy łamy naszego tygodnika.

JERZY WAWRZAK — prezes Łódzkiego Oddziału Związku Literatów Polskich.

Mówca w obszerniejszym wywodzie podjął problem tematu współczesnego w literaturze, zwracając u-

Kierownictwo Estrady Łódzkiej jako główne zadanie widzi podniesienie poziomu artystycznego i uatrakcyjnienie prezentowanych programów, ściąganie z zagranicy czołowych zespołów i solistów (np. zawarte już kontrakty z S. Distelem i Eriha Kitt). Przewiduje się także kontynuację w zmienionej formie ogólnopolskich Targów Estradowych.

od wąsko pojmowanego regionalizmu, zapraszając do współpracy najciekawszych autorów z całego kraju. Kierownictwu Łódzkiej oficyny wydawniczej zależy bowiem na podniesieniu jakości publikacji i zwiększaniu liczby tytułów, co pozwala na elastyczną politykę wydawniczą. Zadaniem wydawnictwa jest także utrwalanie dotychczasowego dorobku, któremu ma służyć Biblioteka Łódzkich Wznowień, jak i podejmowanie nowych inicjatyw jak np. uruchomienie serii przekładów z literatury jugosłowiańskiej.

W swoim wystąpieniu red. nac. WL wskazał również na kilka nieprawidłowości, jak np. trudności uzyskania z budżetu środków na dofinansowanie pozycji wydawniczych o charakterze regionalnym, niewłaściwe zlokalizowanie przy ul. Lipowej księgarni, która ma pełnić rolę wizytówki WL w mieście, a także opieszałość i niski poziom recenzji książek Wydawnictwa Łódzkiego. Natomiast z uznaniem podkreślił pomoc władz miasta w rozwiązywaniu sytuacji lokalowej swej firmy.

jest „młody”, obok doświadczonych reżyserów większość stanowią debiutanci, sprawdzeni w filmach telewizyjnych, dokumentalnych i oświatowych. Fakt ten świadczy o dobrej współpracy ze szkołą filmową, WFO, WFD, a także Wytwórnią Filmów Fabularnych w Łodzi, która przyjęła poza planem pierwsze trzy filmy Zespołu, których produkcja jest już na ukończeniu. W zamierzeniach „Profilu” ważne miejsce zajmuje rozumiana szeroko tematyka łódzka, (np. okres okupacji w Łodzi, lokaut łódzki z roku 1907). Duże nadzieje łączy kierownictwo zespołu z łódzkiimi pisarzami, którzy już w tej chwili zgłosili kilkanaście interesujących propozycji. Podkreślając rolę literatury w filmie, zwłaszcza współczesnej, B. Poręba zwrócił uwagę na fakt, że oprócz adaptacji powstają filmy autorskie, pisane kamerą, jak np. film K. Wojciechowskiego „Nowy Świat”. Mówca w szerszym wywodzie przedstawił swoje poglądy na temat funkcjonowania kinematografii, postaw twórczych ludzi kina, szans i jakie się w tej dziedzinie kultury otwierają. Poinformował również o planowanym wspólnie z redakcją „Głosu Robotniczego” konkursie na scenariusz filmowy.

ZBIGNIEW JÓZEFOWICZ — prezes Łódzkiego Oddziału Stowarzyszenia Polskich Artystów Teatru i Filmu.

Mówca w swoim krótkim wystąpieniu ograniczył się do przedstawienia dwóch tylko problemów, którymi aktualnie zajmuje się łódzki oddział SPATIF. Po pierwsze, powołanie w Łodzi agencji Ośrodka Kultury Mowy Polskiej, który od niedawna istnieje przy ZG SPATIF. Jej zadaniem, jak stwierdził Z. Józefowicz, będzie udzielanie czynnej pomocy tym wszystkim, których instrumentem twórczego działania jest język polski. Pierwsze kroki już podjęto na terenie 4 szkół średnich oraz seminariach teatralnych, z myślą o dalszej, szerszej perspektywie.

Łódzki SPATIF podjął także opiekę nad młodymi aktorami. Nie zawsze otrzymują oni w swych teatrach duże zadania aktorskie. Stworzono zespół, gdzie będą mogli doskonalić swój warsztat i sprawdzać swe umiejętności inscenizacyjne. Zespół ma już za sobą udany debiut (wg tekstów E. Brylla) podczas ostatniej Wiosny Artystycznej. Obecnie przygotowuje drugie widowisko wg własnego scenariusza.

WIESŁAW GARBOLIŃSKI — prezes Łódzkiego Oddziału Związku Artystów Plastyków.

Mówca obszernie podjął temat plastyki, jej wszechstronnego przenikania w życie społeczeństwa i kształtowania jego estetycznej wrażliwości. Bezpośrednie wytwory plastyki lub wywodzące się z jej ducha spotykamy wszędzie w pracy, w osiedlu jako ekspozycje, na wystawach i przedmioty codziennego użytku we własnym mieszkaniu. Stąd waga popularyzacji dokonań i możliwości łódzkiego środowiska plastycznego. Służył temu m. in. organizowany w czerwcu br. Tydzień Plastyki. Jednak zgłoszone wówczas praktyczne propozycje z zakresu ceramiki i emalierstwa nie zostały podjęte przez przemysł i budownictwo do tej pory. Również możliwości projektowe środowiska plastycznego nie są w pełni wykorzystane.

W. Garboliński z uznaniem podkreślił pomoc władz w zakresie wystawienniczym o czym świadczy otrzymanie pięknej placówki dla Biura Wystaw Artystycznych przy ul. Wólczańskiej oraz Galerii na Starym Mieście. Natomiast krytycznie ustosunkował się do przesunięcia terminu budowy Galerii Centralnej. Łódź, jak stwierdził mówca, omija duże, międzynarodowe imprezy plastyczne, bo aktualnie nie ma możliwości organizowania ekspozycji z należytym rozmachem.

WOJCIECH EKIERT — wicedyrektor Wydziału Kultury Urzędu M. Łodzi.

W swoim wystąpieniu dyr. W. Ekiert omówił obszerne realizacje zadań w dziedzinie kultury ostatniego pięcioletnia, istotny postęp jaki się w tym okresie dokonał. Od dwóch lat działalność kulturalna została ujęta w ramy wszechstronnego i ambitnego programu zatwierdzonego przez Plenum KŁ PZPR. Program ten jest realizowany, a pewne przesunięcia czasowe narzuciły oczywiście z punktu widzenia społecznego priorytety, jak np. budownictwo mieszkaniowe. Także najbliższe pięcioletnie będzie okresem postępu. Zamierza się np. zainwestować w rozwój bazy kulturalnej kwotę 150 mln zł. Potrzeby w tym zakresie są znacznie wyższe, ale i tak będzie to w naszych warunkach duży wysiłek. W przyszłości zaistnieją niewątpliwie możliwości dokonania korekt planu w górę.

W gestii Wydziału Kultury, stwierdził mówca, weszły nowe tereny o ubogiej infrastrukturze kulturalnej. Należałoby w związku z tym podjąć akcje patronackie, by szybciej dokonać niwelacji poziomu, a także opracować koncepcje modelowe upowszechnienia różnych form działalności kulturalnej. Już dziś, stwierdził W. Ekiert, o wielu sprawach możemy mówić z satysfakcją. Możemy zapewnić władze partyjne, środowiska twórcze i działaczy kultury, że z każdym rokiem ta satysfakcja będzie wzrastać.

Do problemów przedstawionych w dyskusji ustosunkował się w obszernym przemówieniu tow. **ZBIGNIEW FALIŃSKI**, sekretarz KŁ PZPR. Oto główne myśli jego wystąpienia:

Bilans lat 1971-75 jest pozytywny. Możemy go zaliczyć na wspólne konto dokonań jako efekt uczciwej pracy. Udało nam się stworzyć dobry klimat, atmosferę pełnego zaufania dla twórców, co było konsekwencją partyjnego działania. Mamy służy program, powszechnie zaaprobowany. Będziemy się starać zweryfikować go w górę po II Konferencji Partyjnej...

W najbliższym pięcioletniu będziemy działać w warunkach wyższego standardu życia, wrośnie poziom wykształcenia, zdobycze społeczne. Zmieni się na korzyść jakość życia i działania w sferze kultury muszą temu dorównać. Liczyć się trzeba również z tym, że postęp niesie z sobą komplikacje życiowych komponentów, nie unikniemy zjawisk negatywnych. W dyskusji przedzjazdowej nasza refleksja musi ogarnąć te wszystkie obszary, aby przyspieszać proces stwarzania społeczeństwa o wysokiej kulturze...

Należy się także zastanowić czy, mimo sukcesów, wykorzystujemy w pełni istniejące obecnie możliwości? Czy nasze placówki kultury działają efektywnie, są na tyle atrakcyjne by mieszkańcy naszego miasta powszechnie uczestniczyli w ich działalności? W ostatnim okresie władze miasta oddały wiele budynków i pomieszczeń na cele kulturalne i trzeba je dobrze wykorzystać. Musimy wzbogacać formy działania w kulturze, wciągać do aktywnej współpracy odbiorców. Z drugiej strony nie tolerować złej pracy, nierobstwa, lenistwa umysłowego...

Należy zwrócić uwagę w środowiskach twórczych winno się skupić na młodych twórcach. Młodzież artystyczną trzeba traktować poważnie, po partnersku, podejmować z nią dyskusje, wyzwać ambicje...

W końcowej części swego wystąpienia tow. Zbigniew Faliński ustosunkował się szczegółowo do postulatów zgłoszonych w dyskusji popierając w zasadzie prawie wszystkie zgłoszone wnioski.

Na zakończenie sekretarz KŁ PZPR życzył wszystkim twórcom i działaczom kultury dalszych sukcesów i satysfakcji w dziele pomnażania i wzbogacania kultury socjalistycznej.

EFEKTYWNIEJSZE DZIAŁANIE

wagę na psychologiczno-artystyczne i polityczne uwarunkowania twórczości podejmowanej bez historycznej perspektywy. Zasadniczą jednak treścią wystąpienia J. Wawrzaka była prezentacja działalności łódzkiej organizacji pisarzy w ostatnim okresie, oraz omówienie aktualnych poczynąń i podejmowanych inicjatyw. Mówca z satysfakcją stwierdził, że podjęte w ostatnich latach decyzje władz w istotny sposób poprawiły sytuację socjalno-bytową pisarzy, przyczyniły się do pełniejszego wykorzystania możliwości twórczych środowiska. Jednocześnie podjęto szereg działań ułatwiających pisarzom kontakty ze społeczeństwem poprzez rozmaite formy upowszechniania twórczości literackiej oraz ożywienia życia wewnątrzwiązkowego. Celem tym będzie m. in. służyć Dom Literatury, wielofunkcyjny obiekt powstały po adaptacji secesyjnej kamienicy, powołanie samodzielnej Sceny Teatralnej, gdzie odbywać się będą spektakle premierowe łódzkich autorów, coroczna publikacja p.n. „Akcenty”, sumująca okresowy dorobek łódzkiej kultury. Środowisko literackie z uznaniem przyjęło powstanie Zespołu Filmowego „Profil”, miesięcznika „Kalejdoskop”, kolumn kulturalnych w gazetach codziennych: pozytywnie ocenia współpracę z Wydawnictwem Łódzkim, Kuratorium Bibl. im. Waryńskiego i innymi placówkami kulturalno-oświatowymi. Popierając idee „Sojuszu pracy z kulturą i sztuką” — prezes ZLP w Łodzi — wskazał na przypadki niewykorzystywania wszystkich możliwości w tym zakresie. Nawołując do sukcesów kulturalnej Łodzi podczas „Pamiętności XXX-lecia”, mówca wskazał na niedostateczne zainteresowanie centralnej prasy społeczno-kulturalnej licznymi i znaczącymi osiągnięciami jakie na terenie łódzkim powstały.

ANDRZEJ JÓZWIĄK — dyrektor i kierownik artystyczny Estrady Łódzkiej.

Mówca poinformował zebranych o szczególnie intensywnych działaniach w ostatnim okresie na rzecz stworzenia nowego modelu przemysłu rozrywkowego, który stanowi ważne ogniwo w całokształcie działalności kulturalnej i jest przedmiotem masowego zainteresowania, zwłaszcza młodzieży. Obecnie reformowana Estrada Łódzka obejmuje zasięgiem swojego działania śladem województwa, koncentrując swoją uwagę na organizowaniu koncertów w zakładach pracy. Uwzględniając zapotrzebowanie społeczne rozpoczęto akcje imprez masowych, jak np. ostatnia w Hali Sportowej.

Wiele uwagi dyr. A. Józwiak poświęcił sprawie kształcenia nowych kadr dla przemysłu rozrywkowego. Obecnie wyższe szkolnictwo muzyczne (z wyjątkiem WSM w Katowicach) nie interesuje się tą problematyką. W tej sytuacji za słuszny i pozytywny trzeba uznać postulat o powołaniu Studium Sztuki Estradowej przy PWSFTviT, finansowane częściowo przez łódzką estradę.

JAN JAKUBISZYN — dyrektor Łódzkiego Domu Kultury.

Mówca omówił niektóre aspekty organizacji czasu wolnego podkreślając konieczność łączenia działalności o charakterze wypoczynkowo-rekreacyjnej z różnymi formami oddziaływania kulturalnego. Koordynacja w tym zakresie — zdaniem dyr. LDK — nie jest jeszcze zadowalająca. Liczne inicjatywy LDK nie spotykają się ze zrozumieniem przedsiębiorstw, instytucji, a ostatnio także kierownictw szkół, jako że imprezy plenerowe się zakończyły i część aktualnych imprez trzeba organizować w obiektach zamkniętych.

Jako jedno z ważniejszych zadań swej instytucji J. Jakubiszyn uznał sprawę upowszechnienia kultury na terenach które od czasu reformy weszły w skład miejskiego województwa łódzkiego. Powołanym aktualnie Gminnym Ośrodkiem Kultury i Propagandy trzeba udzielić wszechstronnej pomocy, także m. in. ze strony środowisk twórczych i placówek kulturalnych o dużym dorobku. Akcji tej, jak i w ogóle działania pracowników kultury, stwierdził mówca, powinno towarzyszyć większe zainteresowanie środków masowej informacji. Dotychczasowe formy publikacji są okazjonalne i cząstkowe, nie ukazują problemów i nie satysfakcjonują nikogo.

JACEK ZAORSKI — redaktor naczelny Wydawnictwa Łódzkiego.

Mówca na wstępie podkreślił wyjątkową nadal rangę książki jako zjawiska kulturowego, jej trwałość i zasięg czasowy w porównaniu z środkami masowego przekazu. Następnie przypomniał tradycję i już bez mała 20-letni dorobek Wydawnictwa Łódzkiego, zamykający się liczbą ok. tysiąca tytułów. W tej liczbie, co J. Zaorski podkreślił z satysfakcją, mieści się ponad 600 pozycji łódzkich autorów. Te propozycje WL będzie starało się w przyszłości utrzymać, odcinając się jednocześnie

IGOR SIKIRYCKI — literat, red. n. R.N. m. Łodzi.

Znany pisarz, tłumacz i działacz kulturalny (laureat nagrody m. Łodzi sprzed roku) w swoim przemówieniu podjął ważny społecznie problem twórczości dla dzieci i młodzieży. Dzieci są szczególnie wrażliwymi odbiorcami kultury i w tym okresie kształtują się w nich pojęcia i postawy, które w większości przypadków stanowią o aktywności uczestnictwa w kulturze w okresie dojrzałości. Tę świadomość powinni mieć nie tylko autorzy książek dla dzieci, ale wszyscy twórcy kultury, działacze i organizatorzy teatrzyków, teatrów młodzieżowych, widowisk itp. Teatrzyki kukiełkowe, jak stwierdził mówca, nie załatwią wszystkiego, gdy teatry „dla dorosłych” będą stereotypowo wystawiać jedną bajkę w roku przed Bożym Narodzeniem. Zdaniem I. Sikiryckiego mamy warunki do tworzenia ambitnych widowisk dla młodzieży, które jak np. „Kleś” w reż. K. Dejmkę w Warszawie był wydarzeniem artystycznym w ogóle.

Mówca zgłosił również szereg propozycji m. in. większego zacieśnienia współpracy łódzkich środowisk twórczych z „Semaforem” oraz wprowadzenia w środki masowej informacji większej ilości pozycji uwzględniających tematykę dziecięcą i młodzieżową.

BOHDAN PORĘBA — reżyser, kierownik artystyczny Zespołu Filmowego „Profil”.

Mówca zgłosił na wstępie fakt powołania Z. F. „Profil” w roku uchwały Biura Politycznego partii o podwojeniu w przyszłym 5-leciu produkcji filmowej w kraju. Łódzki zespół filmowy chce w tym ambitnym przedsięwzięciu aktywnie uczestniczyć, preferując w swym działaniu to, czego się domaga społeczeństwo — dobrych i ambitnych filmów o tematyce współczesnej, a także sięgać do historii, do tych zjawisk, które pośrednio określają naszą obecną tożsamość narodową i klasową. Zespół

Myślenie historyczne większą wagę przywiązuje do przyszłości niż przeszłości. Brzmi to trochę paradoksalnie, ale myśląc historycznie w przeszłości doszukujemy się źródeł i uwarunkowań teraźniejszości, natomiast podejmując aktualne działania, czynimy to z myślą o ich przyszłych skutkach. Praktyka wprawdzie nie zawsze potwierdza słuszności takiej zasady, ciągle jeszcze spotykamy się z działaniem nadto doraźnym, którego krótkowzroczność jest czasami wręcz przerażająca, ale też myślenie historyczne jest postulatem, a nie powszechnie uznaną praktyką.

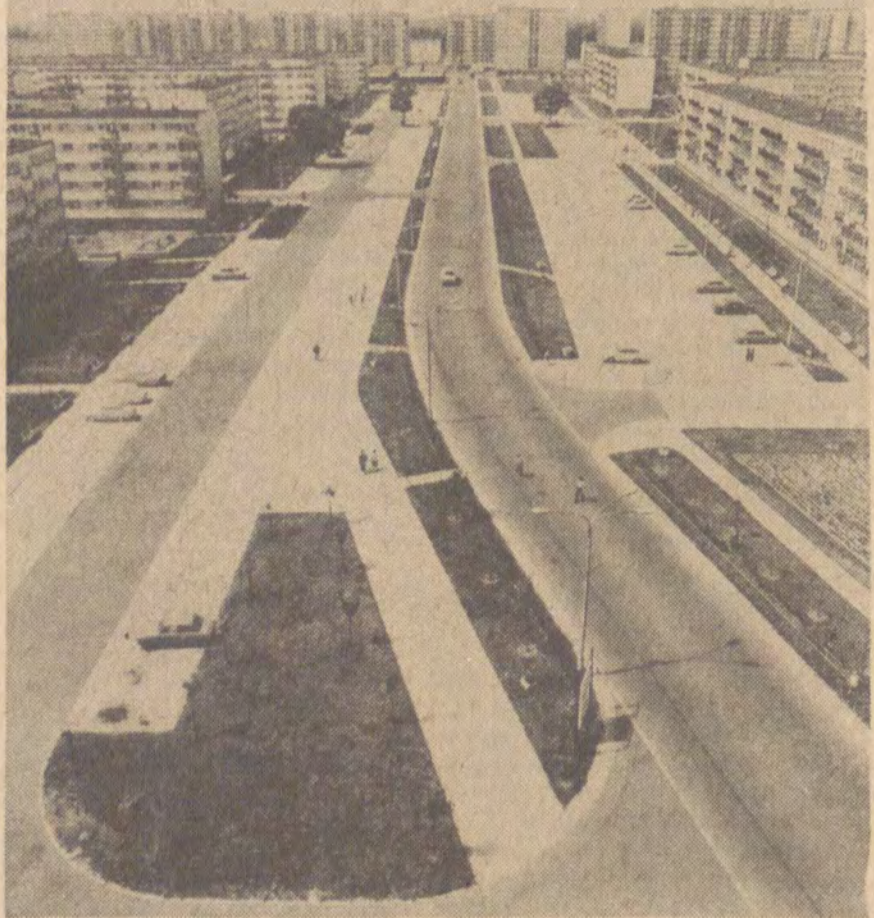
W Polsce gościła niedawno grupa inżynierów polskiego pochodzenia, którzy mieszkają i pracują na wszystkich niemal kontynentach. Telewizja Polska pokazała tę grupę, a reporterka DTV przeprowadziła z gośćmi krótką rozmowę. Przyjeżdżający po kilka razy do starej ojczyzny specjalistami mają możliwość porównywania tego, co robimy, mają możliwość oceniania tempa dokonujących się przemian. I jeden z nich powiedział, że jest aż przerażony tym tempem, że boi się, czy podolamy.

Istotnie przyjęliśmy zawrotne tempo dokonywania przemian, ale też jest to jedynie możliwa droga. W tym tempie łatwo o doraźność, łatwo o krótkowzroczność, o pomyłki, których ujemne skutki mogą dawać o sobie znać przez czas długi. Ale właśnie w tym czasie, kiedy rozpoczęliśmy przyśpieszanie, kiedy zwiększyliśmy tempo przemian kreśląc sobie ambitne zadania, właśnie w tym czasie powstała też wizja Polski ostatnich lat XX wieku.

W Tezach przyjętych na XIII Plenum KC PZPR (luty 1974 roku) stwierdza się między innymi:

„Polska lat dziewięćdziesiątych będzie krajem rozwiniętego społeczeństwa socjalistycznego. Nowoczesna organizacja życia społecznego, dostatek materialny, połączony z powszechnym wykształceniem średnim i szerokim dostępem do szkolnictwa wyższego, z wysokim poziomem kultury, zapewnią wszystkim członkom społeczeństwa coraz pełniejsze wyzwalanie możliwości twórczych, aktywne i rozumne wykorzystanie zdolności każdej jednostki, rozwój zainteresowań i racjonalny wypoczynek. Wszystko to umocni socjalistyczne więzi w stosunkach międzyludzkich i ideowo-moralną jedność całego społeczeństwa”.

Przy szybkim marszu naprzód niezbędne jest określenie perspektywicznego celu, patrzenie daleko w przyszłość. Jedynie dążyć do celu, dążyć do celu bez kreslenia sobie celów, gdyż są one wtedy niepotrzebne. Ale określenie generalnej koncepcji Polski końca XX wieku, nie zwalnia o konieczności kreslenia celów konkretnych, szczegółowych, niezbędnych dla poszczególnych dziedzin życia. Tymczasem nie we wszystkich dziedzinach tak się dzieje. Często w przedsiębiorstwach, instytucjach, miastach, wsiach, brakuje perspektywicznej wizji, panuje tam obawa przed precyzowaniem dalekosiężnych celów, panuje wygodny zwyczaj oczekiwania na dyrektywy które nieuchronnie muszą nadejść od zwierzchnich jednostek.



Fot.: Włodzimierz Parys

W toczącej się dyskusji o dyscyplinie, a jest to przecież dyskusja o podstawach, o ideowych motywach ludzkiego działania, wiele uwagi zwraca się na młodych. Panuje przekonanie, że młodzi pracują źle, lenią się, że cechuje ich utylitarystyczny stosunek do życia i pracy. Brakuje im ofiarności, zapалу i zaangażowania. Dzisiejszym postawom młodych przeciwstawia się postawy młodych sprzed kilkunastu lat. Są to jednak poglądy powierzchowne.

I.

na nie składają. Jeżeli istotnie młode pokolenie jest tak mało wartościowe, to warto zastanowić się, dlaczego? — i warto zatroszczyć się o naszą wspólną przyszłość, która przecież już niedługo przejdzie w ich ręce.

Instytut Wydawniczy CRZZ opublikował w połowie bieżącego roku książkę Andrzeja Sicińskiego pt. „Młodzi o roku 2000”. Są to rezultaty badań międzynarodowych, prowadzonych wśród ludzi młodych, z tym, że granica pojęcia „młody” była dość płynna, gdyż badaniami objęto ludzi od 15 do 40 lat. W Polsce badania prowadził Ośrodek Badania Opinii Publicznej i Studiów Programowych Polskiego Radia i Telewizji, a analizował je i opracowywał Zespół Programów Społecznych Instytutu Filozofii i Socjologii PAN.

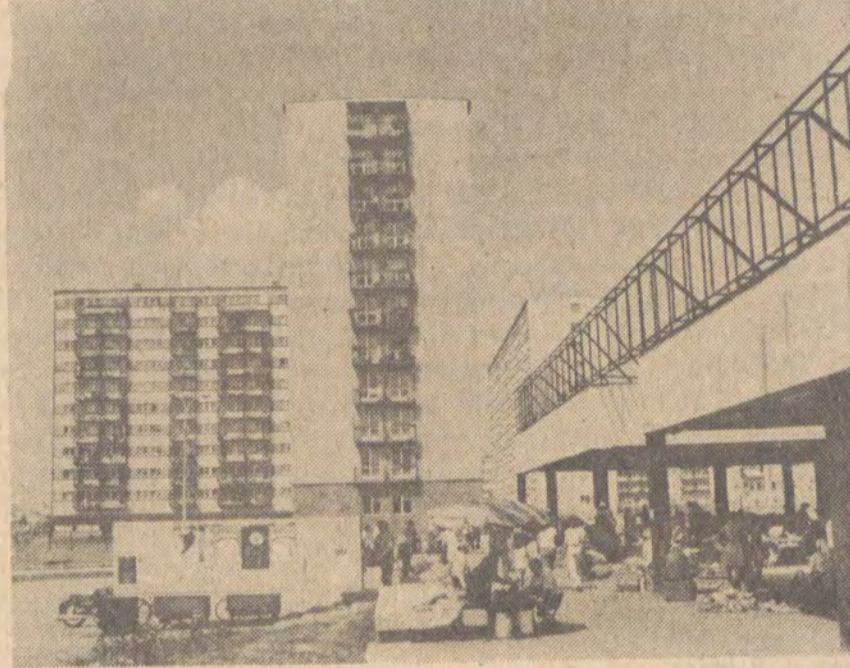
Wśród wielu pytań, postawionych młodym, były dwa, które określały ich stosunek do teraźniejszości i przyszłości. Jedno pytanie brzmiało:

„Teraźniejszość niesie z sobą zbyt wiele nieszczęść, naprawdę liczy się tylko przyszłość”.

37 procent pytanych uznało taki pogląd za niesłuszny, a 29 proc. pytanych — nie miało całkowitej pewności, czy taki pogląd można zaakceptować. Zaakceptowała go natomiast tylko jedna czwarta ankietowanych.

Zapytano młodych również o zgodę na następujący pogląd:

„Prawdziwy postęp społeczny możemy osiągnąć jedynie wracając do



Fot.: Włodzimierz Parys

i wszystko wyrówna, „czy się stoi, czy się leży, dwa tysiące się należy”, kształtowali ideologię „lumiwizmu”. Trudno oczekiwać, że te „ideologie”, choć przeszły już do lamusa, nie zostawiły żadnego śladu w społecznej

O stanie naszej propagandy powiedziano już wiele. Wiadomo powszechnie, że nie jesteśmy z niej zadowoleni. Zdajemy sobie sprawę z jej braków i niedociągnięć, ale ciągle nie potrafimy wyjść ze stanu niezadowolenia i przelecieć do stanu kształtowania nowych wzorów propagandowych.

Propaganda — jak to powszechnie wiadomo — jest formą upowszechniania ideologii, Leninowskie cechy propagandy, to: naukowość, partyjność, prawdziwość, konkretność. Prasa, radio i telewizja spełniają w działalności propagandowej określoną i ważną rolę. „Wytoczne KC na VII Zjazd PZPR” stwierdzają:

„Niezbędne jest ciągłe doskonalenie działalności prasy, radia i telewizji, weryfikacja stosowanych form i wprowadzanie nowych odpowiadających współczesnym warunkom i wymaganiom”.

Ale doskonalenie tej dziedziny propagandy, to nie tylko unowocześnianie form, to także większa troska o treść, jej aktualność, prawdziwość i ideologiczną wartość. W naszej propagandzie unikamy najczęściej „problemów drażliwych”, dyskusyjnych, ukazując świat bezkonfliktowy, usłaskany, choć znajomość dialektyki każdemu dostrzegać w świecie sprzeczności, umieć rozpoznawać to, co nowe, co gwarantuje nieprzerwany rozwój. Przygotowując program dalszego, przyspieszonego rozwoju kraju, nie wolno nam pomijać sprzeczności, gdyż może to doprowadzić do trwałych zahamowań w nadbudowie.

Propaganda nie może tylko objaśniać rzeczywistości, powinna też stwarzać intelektualne i ideologiczne podstawy dla jej zmieniania. W propagandzie, tak, jak w każdej dziedzinie społecznej praktyki, nie może obowiązywać zasada działania doraźnego, tu również trzeba kształtować myślenie historyczne — jednostkę przeszłości, teraźniejszości i przyszłości. Od tego, jak dziś interpretujemy rzeczywistość, jak uczymy patrzeć na nią — statycznie czy w rozwoju — zależy będzie też przyszły kształt społecznej świadomości.

Na spotkaniu kierownictwa partii i państwa z ludźmi nauki i sekretarz KC PZPR — Edward Gierlek powiedział m. in.:

„W realizacji obecnych zadań, bardziej niż kiedykolwiek potrzebujemy umocnienia dyscypliny pracy, dyscypliny technologicznej, najszerzej pojętej dyscypliny obywatelskiej. Jest to warunek podniesienia jakości pracy i życia naszego narodu”.

W realizacji tego zadania trzeba pokusić się o pokazywanie ludzi twórczych, myślących, ludzi, którzy rozumieją teraźniejszość i potrafią w niej dostrzec zaledwie nowego, przyszłości, którzy nie są skazani doraźnością i nie mają nadto utłaskanych poglądów. W prezentacji postaw ciągle jeszcze obracamy się w kregu jednego stereotypu: człowieka, który dobrze pracuje, ale nie ponad to. Ciągłe jeszcze potrafimy pokazywać takich samych ludzi, podobnych do siebie, którzy potrafia mówić to samo. I kiedy nadzie z ekranu telewizyjnego, z łamów gazet wyłoni się prawdziwa twarz człowieka, stałemu zdumieniu i oczarowaniu: — orosze, jakichś mądrych mam ludzi! A takich ludzi jest naprawdę wielu. Dotrzylimy do nich, pokażmy ich i ich poglądy.

III.

Kiedys głośno hasło, że socjalizm budujemy dla przyszłych pokoleń. Dziś wiemy, że socjalizm budowany dla ludzi i przez ludzi, tworzymy dla siebie, ale też, to, co robimy dziś, będzie wplywało na to, co powstanie jutro. Musimy sobie z tego zdawać sprawę, jak również z tego, że występujące obecnie napięcia i sprzeczności są pozostałościami lat nieporządków, że dziś ponosimy skutki tego, co źle robiliśmy w przeszłości.

LUCJUSZ WŁODKOWSKI

JAKA BĘDZIE PRZYSZŁOŚĆ?

naszej wspaniałej i zapomnianej przeszłości”.

Zgoda na to wyraziło zaledwie 9 proc. ankietowanych, 18 proc. nie miało pewności, czy można taki pogląd przyjąć, a 67 proc. odpowiedzi było negatywnych, stanowczo odrzucających powrót „do naszej wspaniałej i zapomnianej przeszłości”.

Porównanie rezultatów badań w kilku krajach pozwoliło stwierdzić, że młodzi na przykład w Japonii skłaniają się do apoteozy przeszłości lub uciekają marzeniami, myślami do przyszłości. W Hiszpanii, Indiach i Finlandii panuje na przyszłość. Natomiast młodzi w Polsce, CSRS, Jugosławii, Wielkiej Brytanii, Holandii i Norwegii orientują się przede wszystkim na teraźniejszość.

W ankiecie sformułowano też 10 pytań dotyczących „filozofii przyszłości”. Ankietowani młodzi Polacy zdecydowanie odrzucają takie polecia, jak: „Trudno dziś odróżnić, co jest dobre, od tego, co jest złe”. „Przyszłość jest niepewna, należy więc żyć z dnia na dzień”. „Najważniejsze jest nie życie doczesne, ale to, co nas czeka w życiu przyszłym” akceptując jednocześnie takie sformułowania i poglądy w nich zawarte, jak: „Aby ludzkość osiągnęła przyszłe szczęście trzeba się nieraz pogodzić z dzisiejszą niesprawiedliwością”. „Czasem trzeba postawić wszystko na jedną kartę”. „Świat trzeba zmienić zasadniczo”.

Młodzi Polacy stoja więc w zasadzie twardo na gruncie realizmu i teraźniejszości. Nie boja się przyszłości i chcą uczestniczyć w jej kształtowaniu, zgodnie podkreślają wagę wartości moralnych, gdyż aż 63 proc. ankietowanych zaakceptowało twierdzenie, że „Ważne są tylko wartości moralne”. Skąd więc posadzenia młodych o bezideowość, brak zaangażowania, niechęć do pracy?

W przeszłości popełniliśmy wiele różnych błędów, a w tym również popełnialiśmy błędy w wychowywaniu młodego pokolenia. Odpowiedzialność za te błędy ponoszą w końcu dorośli. To przecież dorośli wymyślali hasła w rodzaju: „przyjdzie walec

świadomości, nie wywarły wpływu na młode pokolenia. A poza wszystkim, kiedy słysze narzekania na młodych, zawsze rodzi się pytanie: a my dorośli jesteśmy aniołami?

„Wytoczne KC na VII Zjazd PZPR” wyraźnie formułują kryteria, według jakich powinna kształtować się osobowość młodych:

— walory ideowe, gotowość do aktywnego uczestniczenia w rozwoju socjalistycznej Polski, postawę zgodną z zasadami ideologii socjalistycznej;

— walory intelektualne, wysoki poziom wiedzy i naukowy światopogląd, szerokie zainteresowanie, umiejętność samodzielnego uczenia się i stosowania nauki do rozwiązywania praktycznych problemów;

— umiejętność skutecznego działania, sprawność fizyczną i umysłową, niezbędne w przyszłej pracy zawodowej i w życiu społecznym”.

Obwiny tylko ten program potrafił skutecznie zrealizować.

II.

Myślenie o przyszłości, kształtowanie wizji naszej przyszłości, może wydawać się czynnością łatwą. Przyszłość i nowoczesność kojarzą się nam przede wszystkim z postępem technicznym, nowym, śmiałym budownictwem, z rozwojem urządzeń ułatwiających człowiekowi życie. Są to jednakże tylko warunki materialne przyszłości. Ludzie zajmujący się zawodowo kształtowaniem wizji przyszłości, opracowujący prognozy, doskonale wiedzą, jak łatwo można pomylić się, jak łatwo można nie wziąć pod uwagę jednego tylko czynnika, który nieoczekiwanie zacyduje o zupełnie innym rozwoju materialnej rzeczywistości.

Przyszłość bowiem, to również człowiek, który będzie myślał inaczej niż my dziś myślimy. Człowiek, którego my dziś już kształtujemy, który buduje swoją świadomość nie tylko w oparciu o hasła, ale też w oparciu o wnikliwą obserwację naszej codziennej praktyki. W kształtowaniu tej społecznej świadomości ogromną rolę odgrywa propaganda.

U PRZYJACIÓŁ

Ponad 10 tys. tytułów książek (z tego przeszło 3 tys. opublikowanych po raz pierwszy) ukaże się w bieżącym roku nakładem wydawnictw Niemieckiej Republiki Demokratycznej. Czołowe miejsce w planach edytorów zajmuje seria pn. „Biblioteka Zwycięstwa”, która obejmie głównie dzieła autorów radzieckich i z innych krajów socjalistycznych. Wśród nich „Opowieść o prawdziwym człowieku” Polewoja, „Tytoń” Dimowa i „Nadzy wśród wilków” Apitza.

Podobnie jak w ubiegłych latach od 26 września do 12 października odbywają się obecnie w Berlinie „Dni Sztuki”. Uczestniczy w nich 28 zespołów teatralnych i muzycznych z 18 krajów, głównie z krajów socjalistycznych, ale także i z różnych części świata.

Impreza zorganizowana jest z kolosalnym rozmachem o czym niech świadczy liczba 260 spektakli z udziałem 1800 artystów. „Dni Sztuki” to przede wszystkim okazja do prezentacji osiągnięć dramaturgii współczesnej, licznych premier, których tylko same teatry berlińskie przedstawiłyby trzynastu.

Z krajów socjalistycznych na „Dni Sztuki” przybyli: — z Związku Radzieckiego leningradzki zespół „Miniatury baletowe” pod kierownictwem Leonida Jacobsena oraz pianista Emil Gilels i skrzypek Gidon Kremer. — z Czechosłowacji m. in. zespół „Nowa Scena” z Bratysławy. — z Węgier „Teatr 25” oraz zespół lalkowy.

— z Bułgarii teatr młodzieżowy i zespół folklorystyczny. — z Rumunii opera bukareszteńska — „Króla Egiptu”, „Don Carlosa” i „Cyganerie”.

Podczas berlińskiego festiwalu imponując zaprezentowała się polska sztuka muzyczna i teatralna. W inauguracyjnym koncercie „Dni Teatru Polskiego” duża grupa polskich artystów wystąpiła w Komische Oper. Warszawski Teatr Narodowy przedstawił „Wesele” Wyspiańskiego, Teatr Mały „Kartotekę” Różewicza, Warszawska Opera Kameralna „Echo w lesie” Józefa Elsnera.

Także wiele scen NRD wprowadziło do swego repertuaru sztuki polskich autorów. Np. „Diabły z Loudun” Pendereckiego w operze państwowej, „Pierwszy dzień wolności” Kruczkowskiego w „Berliner Ensemble”, „Awans” Redlińskiego we Frankfurcie nad Odrą. Na szkiele malowane” Brylla w teatrze w Rostocku, „A jak królem...” Nowaka w Stralsundzie, „Kondukt” Drodowskiego w Greifswald.

Po raz pierwszy w bieżącym roku berlińska impreza obejmuje również „Dni młodości” z bogatym programem pieśni zaangażowanej, muzyki jazzowej, najnowszych przebojów i występów kabaretowych.

W Mińsku i innych miastach Białoruskiej SRR miała miejsce już z kolei XV „Dekada polskiej książki”. Główną imprezą była wystawa zorganizowana w Towarzystwie Przyjaciół i Kontaktów Kulturalnych z Zagranicą w stolicy republiki. Zaprezentowano na niej setki tytułów literatury klasycznej i współczesnej, wydawnictwa naukowo-techniczne i albumowe. Podobne wystawy zorganizowano również w Brześciu i Grodnie. Towarzystwo im spółkanka z tłumaczami i popularizatorami polskiej literatury organizowane w zakładach pracy.

Dziennik „Sowietskaja Bielorusia” poinformował, że od 1945 roku ukazało się w ZSRR ok. 2 tys. tytułów polskiej literatury, w łącznym nakładzie prawie 70 mil. egzemplarzy. Natomiast popularność cieszą się dzieła Sienkiewicza (wydane 100 razy w 23 językach), Mickiewicza (77 nakładów w 13 językach), Orzeszkowej (50 wydań w 10 językach).

Minęła 80 rocznica urodzin Sergiusza Jesienina, 50 lat od tragicznej śmierci poety. „Straciłmy wielkiego poeę rosyjskiego” — napisał swego czasu Maksym Gorki, który zawsze wysoko cenił twórczość Jesienina. Zorganizowane z okazji 80 rocznicy urodzin obchody jubileuszowe stały się w ZSRR świętem poezji, przyspieszły starania o utworzenie w najbliższym czasie muzeum poświęconego Jesieninowi. Trwają także prace nad jego pomnikiem w Riazaniu, pojawiły się nowe tablice pamiątkowe w domach gdzie poeta mieszkał. Coraz więcej osób odwiedza wieś Konstantynowo na Riazanszczyźnie, gdzie Jesienin się urodził i napisał wiele wierszy.

Fala oburzenia i protestów po rozstrzelaniu pięciu patriotów hiszpańskich z wyroku reżimu frankistowskiego przetacza się przez cały świat. Jak donoszą agencje zachodnie, reżim postawi przed sądem, prawdopodobnie już w najbliższych dniach, dalszych piętnastu patriotów baskijskich oskarżonych o działalność antyrządową. Co najmniej pięciu spośród nich grozi kara śmierci.

Do otwartej walki przeciwko eksploatacji, politycznemu bezprawiu i represjom przylączyła się wciąż nowa warstwa społeczeństwa Hiszpanii. Reżim frankistowski zaniepokojony wzrostem sił demokratycznych szuka wyjścia z zastraszającego się kryzysu politycznego, wzmagając policyjny terror. Po głośnych wydarzeniach w dwóch baskijskich prowincjach Vizcaya i Guipuzcoa rząd Franco wprowadził ustawę o walce z działalnością terrorystyczną. Na mocy ustawy policja otrzymała pełnomocnictwa do dokonywania aresztowań bez nakazu oraz przetrzymywania w areszcie osób podejrzanych o działalność antyrządową w okresie 10 dni, bez podawania motywów oskarżenia. Ustawa przewiduje również, że dziennikarze, którzy, zdaniem władz, piszą „zasługujące na nagany” artykuły, będą zwalniani z pracy bez odszkodowania. Gazety mogą być zamykane na okres do jednego roku, a ich redaktorzy pociągani do odpowiedzialności sądowej.

W obu wspomnianych już prowincjach baskijskich wprowadzono stan wyjątkowy, co wyraźnie wskazuje, iż rząd frankistowski gotów jest do podjęcia ostrych represji przeciwko narodowowyzwoleńcemu ruchowi. Baskowie, cieszącemu się szerokim poparciem miejscowej ludności. Decyzja ta jest brzemenna w groźbę wojny domowej. Mówi się, iż obecny terror w kraju Basków nosi cechy krwawego terronu czasów wojny domowej 1936 — 39. Wprowadzając stan wyjątkowy rząd pozostawił policji pełną swobodę działania, która ze swej strony przysięgła ocy na terror prawicowych ekstremistów w Kraju Basków, takich na przykład jak członkowie Guerrilleros de Christo Rei (organizacja klerykalno-faszystowska).

Jednym z obiektów napaści prawicy w Kraju Basków jest Kościół katolicki. Dokonano kilku zamachów na duchownych; życie jednego z księży wisiało na włosku po torturach. 20-rym poddała go policja. Około 20 księży aresztowano pod zarzutem powiązań z ETA lub z powodu kazań „zagrożających narodowej jedności Hiszpanii”.

Ta napięta sytuacja na północnej granicy kraju jest nader trudnym problemem dla reżimu frankistowskiego, jeszcze i z innego powodu. Coraz częściej sygną się oskarżenia na Francuzów, którzy odmawiają podjęcia jakiegokolwiek kroków przeciwko Baskom działającym z francuskiego terytorium. W rejonach granicznych z Francją, frankiści formują już oddziały „gwardii obywatelskiej” usiłujące przeszkadzać członkom ETA w powrotach na stronę francuską po

partyzanckich rajdach do hiszpańskich prowincji baskijskich. W ślad za wprowadzeniem stanu wyjątkowego w prowincjach Vizcaya i Guipuzcoa sytuacja na granicy hiszpańsko-francuskiej uległa gwałtownemu pogorszeniu. Podczas karnych akcji przeciwko patriotom baskijskim prawi-cowi ekstremiści z „gwardii obywatelskiej” przekraczają granicę; wdrę-rają się na terytorium Francji. Od grudnia 1973 roku, tj. od czasu, kiedy Francja odmówiła wydania sześciu osób oskarżonych o zabójstwo premiera Carrero Blanco, w stosunkach między obu krajami nastąpiło wyraźne ochłodzenie.

Ciężka sytuacja ekonomiczna i gen.

cial Times” — nie brać pod uwagę bezpłodnej, na pierwszy rzut oka, gadaniny polityków. Debata polityczna, które nigdy były zjawiskiem niezmiernie rzadkim, stają się obecnie coraz bardziej powszechne i otwarte. Wywiera to, i będzie wywierać coraz głębszy wpływ zarówno na ogólną atmosferę polityczną w Madrycie i w całym kraju, jak i na charakter ery pofrankistowskiej.

Już dziś nie ulega wątpliwości, że w pofrankistowskiej Hiszpanii bardzo znacznie wzrosną wpływ Komisji Robotniczych. Wyszły one swoich przedstawicieli na niedawnych wyborach do kierowniczych organów związków zawodowych i odniosły w

Bardzo nisko wyniki daly próby stworzenia innego szerokiego ugrupowania politycznego, które miało stworzyć bazę dla przyszłej działalności tymczasowego rządu księcia Juana Carlosa Bourbona. Osiągnięto zaledwie nietrwale porozumienie między liderami kilku partii, poczynając od chrześcijańskich demokratów i na maoistach kończąc. Po drodze do „bazy” przylączyło się kilka regionalnych ugrupowań. Jasne, że jest to tylko czasowy pakt oparty na ogólnej opozycji wobec reżimu frankistowskiego i niechęci czy wrogości wobec partii komunistycznej i Rady Demokratycznej. Przemyśle to, nazywane „platformą demokratyczną” wyloniło oficjalny sekretariat, który usiłuje opracować wspólną linię polityczną. Wątpliwe jednak, iżby sekretariat cokolwiek opracował poza zbiorem bardzo abstrakcyjnych i rozczłeczonych haseł.

Tylko nieliczne partie, zwracając baczniejszą uwagę na armię, która z jakiego by punktu widzenia na nią nie spojrzeć, odgrywa bardzo ważną rolę. Ekstremistycznie nastawieni generałowie mają niemałe wpływy i groźby gwałtownego zwrotu w prawo, jeszcze za życia gen. Franco, nie należy umniejszać. Spora część „zwykłej” policji, jak również policji politycznej powitałaby takie przesunięcie z aprobatą.

Duże zaniepokojenie wśród liderów madryckiego reżimu wzbudza rewolucja portugalska, mimo iż na zewnątrz zachowują oni sztuczny spokój. Frankistowskie przywódce uważają, że wydarzenia w Portugalii dają im do rąk co najmniej jeden atut. Z ich punktu widzenia, przesunięcie w lewo w Lizbonie „podkreśliło wagę wkładu Hiszpanii do ogólnego systemu obrony Zachodu”. Zdaniem Madrytu sojusznicy Waszyngtonu w NATO starannie przemilczały znaczenie „hiszpańskiego wkładu” jeszcze od czasów pierwszego porozumienia w sprawie baz amerykańskich, podpisanego w 1953 roku. W Madrycie przeżuwa się do dziś fiasko przyjęcia Hiszpanii do NATO: jeśli w sensie politycznym uznano tę gotowość Hiszpanii za „niestosowną”, to dlaczego Anglicy, Holendrzy i Skandynawowie — ci najbardziej zagorzali krytycy Madrytu i najbardziej uparci oponentci przyjęcia Hiszpanii do NATO, znosili reżim czarnych pułkowników w Grecji? Niedawna sesja rady NATO wskazuje, iż zachodnie przyzmiere prawdopodobnie rozpatrzy prośbę Hiszpanii o przyjęcie do NATO po odejściu Franco. Wszystko wskazuje na to, że kiedy caudillo zejże już ze sceny politycznej, pofrankistowska kamaryla będzie się przystąpić do NATO, albo będzie się trzymać woj-szkowych porozumień ze Stanami Zjednoczonymi. Jednakże ostatnie badania opinii publicznej wykazały, że co najmniej 50 procent Hiszpanów jest przeciwnych amerykańskiej obecności w Hiszpanii. Większość nielegalnych partii politycznych, a niektóre z nich odegrają ważną rolę po odejściu Franco, bierze pod uwagę, iż USA nie oprą się pokusie wywarcia wpływów na wewnętrzne sprawy Hiszpanii i że CIA już teraz, działając w tym planie, robi w tym kierunku co tylko może.

A tymczasem cały kraj z niepokojem czeka, co przyniesie najbliższa przyszłość.

JERZY CZECH

HISZPANIA

CO PRZYNIESIE NAJBLIŻSZA PRZYSZŁOŚĆ

Franco — to dwa problemy, które stoją dziś przed Hiszpanią. Ekonomicznie Hiszpania tylko w szczególności różni się od trudności gospodarczych, które przeżywa dziś świat zachodni. A Franco? Wszystkim wiadomo, że czasy reżimu caudillo zbliżają się ku końcowi. I chociaż trzyma on jeszcze w swych rękach ster rządów jest oczywiste, że istniejący stan rzeczy nie może trwać długo. Wiadomo także, iż sam reżim nie będzie inicjatorem radykalnych zmian. Nie wiadomo tylko kiedy on runie i jak wówczas potoczą się sprawy. Niemniej pewne przemiany polityczne w życiu kraju są już widoczne.

Wszystkie istniejące w Hiszpanii partie polityczne, z wyjątkiem frankistowskiej Movimiento Nacional (Ruch Narodowy), są nielegalne. Nielegalne są także Komisje Robotnicze — podziemne organizacje związków zawodowych, reprezentujące interesy ludzi pracy. Większość partii opozycyjnych nie jest jeszcze groźna dla reżimu. Ich działalność ogranicza się w większości do plotek przy cocalach, co przydaje im pewnego kolorytu dekadentckiej nierealności. Reżim patrzy na nie przez palce. „Tylko nieliczni politycy, nie mówiący oczywiście o komunistach, są gotowi do podjęcia poważnego ryzyka” — powiedział niedawno jeden z wiodących opozycjonistów hiszpańskich. Środowisko madryckich polityków nazwał on „mównicą” i, być może, stan taki odpowiada zamierzeniom władz. „Jednakże byłoby błędem — pisze korespondent londyńskiego „The Finan-

nich znaczne sukcesy. Władze reżimowe zdają sobie sprawę z groźnych następstw działalności Komisji Robotniczych, niezależnie bowiem od panujących w nich nastrojów politycznych (więzi z partią komunistyczną), związkowa działalność Komisji stwarza szeroką i bardzo wygodną platformę politycznego organizowania klasy robotniczej. A jeśli się robotnikom uda stworzyć, choćby tylko częściowo, niezależną organizację związkową — a trzeba podkreślić, że wy-walczyli już dość sporo, przeprowadzając strajki polityczne — to reżim odczuje to jako cios wyjątkowo niebezpieczny.

Najbardziej zorganizowaną nielegalną polityczną siłą w Hiszpanii, najlepiej przygotowaną do walki z policją polityczną są bez wątpienia komunisty. W tych rejonach kraju w których ma wpływy Komunistyczna Partia Hiszpanii, żadna inna partia nie może się z nią równać w sferze organizowania ruchu robotniczego. Członkowie komitetu centralnego KPH oświadczyli, że są gotowi do współpracy z wszystkimi ugrupowaniami politycznymi, których zamierzeniem jest ustanowienie demokracji w Hiszpanii. Dążąc do tego celu komunisty utworzyli w ubiegłym roku Radę Demokratyczną, jednakże tzw. „umiarkowane elementy” nie śpieszą się na razie do współpracy z Radą.

Do Rady Demokratycznej, obok komunistów, wchodzi socjaliści, a także poszczególni polityczni działacze z innych partii, więcej lub mniej wpły-wowi.

PRZEGRANA KARTA REŻIMU FRANCO REALIZOWANY POSTULAT ZNÓW W WIEDNIU

C cały świat postępowy do żywego poruszenia został egzekucją pięciu antyfaszystów hiszpańskich, której to zbrodni — mimo protestów opinii publicznej — dopuścił się reżim gen. Franco. Akcja protestacyjna objęła komunistów i katolików, socjaldemokratów i liberalną burżuazję. Wiele rządów odwołało z Madrytu swych ambasadorów, przeciwko okrucieństwu reżimu hiszpańskiego zabierał głos papież Paweł VI, kilku polityków, a w ich liczbie premier Szwecji — Olof Palme, publicznie uznało, że Franco kończy swe rządy haniebnie. Z inicjatywy Światowej Federacji Związków Zawodowych 2 października był dniem międzynarodowej solidarności przeciwko dyktaturze w Hiszpanii.

Fala protestów przebiegła także przez Polskę. CRZZ oświadczyła, że „polski ruch zawodowy zdecydowanie domaga się przywrócenia wolności wszystkim więznom z działalności związkowej i politycznej, przyznania swobód demokratycznych i związkowych i zaprzestania represji i krwawego terronu w Hiszpanii”.

Reżim gen. Franco czuje się obecnie bardziej zagrożony niż kiedykol-

wiek. Pokojowy rozwój Europy i bieg wydarzeń w sąsiadującej Portugalii niosą niebezpieczeństwo dla hiszpańskiego reżimu. Broni się więc demonstracją siły, nie rozumiejąc, że właśnie ona przyspiesza kres dyktatury. Ostatnie wydarzenia w Hiszpanii utrudniają jej też wyjście z izolacji politycznej na arenie międzynarodowej. Ale Franco zdaje się postawić już wszystko na jedną kartę. Czymże bowiem innym wytłumaczyć fakt, że właśnie wówczas, gdy świat protestował przeciwko decyzji o karze śmierci — jego wysłannik dekorował gen. Pinochetą, krwawego dyktatora chilijskiego, najwyższym odznaczeniem reżimu frankistowskiego?

Na mapie Europy Hiszpania stanowi czarną plamę. Czy długo jeszcze?

Niewiele czasu minęło od podpisania w Helsinkach Aktu Końcowego, a postulat, aby przyjęte tam zasady stosunków między państwami włączane były do dwustronnych porozumień, z powodzeniem zrealizowały Polska i Portugalia. Wizyta prezydenta Francisco da Costy Gomeza w naszym kraju zakończyła się podpisaniem deklaracji o rozwoju przyja-

nych stosunków i współpracy między Polską i Portugalią, w której postanowienia z Helsinek znalazły praktyczne zastosowanie.

„Obie strony — czytamy we wspólnym komunikacie polsko-portugalskim — potwierdziły swą wolę pełnej realizacji i respektowania postanowień Aktu Końcowego KBWE i współdziałania w tym kierunku zarówno w stosunkach dwustronnych, jak też na płaszczyźnie wielostronnej”.

Stosunki między obu krajami nawiązane zostały niedawno. Jednakże możemy już mówić o współpracy, która teraz — po wizycie prezydenta w Polsce — nabiera jeszcze większego rozmachu. Ułatwia ją umowa o transporcie lotniczym oraz umowa o współpracy kulturalnej i naukowej, przewidująca wymianę naukowców, zespołów kulturalnych i inne formy wzajemnych kontaktów. Ważne znaczenie ma również wspólne postanowienie o odbywaniu okresowych konsultacji dwustronnych.

Z Warszawy prezydent Portugalii odleciał do Moskwy, gdzie złożył oficjalną wizytę. Piszemy o tym, aby podkreślić, że Portugalia, tradycyjnie związana z zachodnim systemem politycznym i gospodarczym, prowadzi politykę otwarcia i zainteresowania jest również rozszerzeniem swych stosunków ze Wschodem.

A co dzieje się obecnie w Portugalii?

ojalistyczna o rzekomych zamachu stanu, przygotowywanym przez siły skrajnie lewicowe. Wszystko wskazuje na to, że te nie potwierdzone przez rząd pogłoski były ze strony socjalistów zwykłym manewrem. Próba zbiecia kapitału politycznego nie powiodła się jednak, cała zaś sprawa z alertem wskazuje na trwającą nadal walkę sił.

Do przeglądu wydarzeń tygodnia włączmy jeszcze jeden temat: rokowań wiedeńskich na temat redukcji sił zbrojnych i zbrojeń w Europie. Po dwumiesięcznej przerwie delegacje 19 państw zebrały się na 77 plenarne posiedzenie, aby tym samym zapoczątkować jesienną rundę rokowań.

Jak wiemy, nie są one łatwe i dotychczas nie osiągnięto zadowalającego postępu. Jednakże Konferencja Bezpieczeństwa i Współpracy w Europie rozbudziła pewne nadzieje. Sądzi się, że po wstępnych dyskusjach w tej rundzie mogą pojawić się nowe propozycje, ułatwiające zbliżenie stanowisk.

Zdaniem obserwatorów — jedną z rozbieżnych kwestii jest, czy redukować siły lądowe do określonego pułapu, czy też o określonej wielkości. Przytaczamy ten przykład, aby wykazać, jak wiele mają jeszcze przed sobą państwa uczestniczące w wiedeńskich rokowaniach.

W. SŁAWSKI



ROMANS WSZECH CZASÓW

Joanna Chmielewska jest niewy-
czepiana w zwario-
wanych i nieprzo-
dopodobnych po-
myślach. Wydawać
by się mogło, że w
powieści „Całe zda-
nie nieboszczyka”
wyszczepiła możli-
wość pisarskiej fan-
tazji. Okazuje się, że
nie.

Najnowsza po-
wieść Chmielew-
skiej znów nas no-
kautuje nieprawo-
podobienstwami.

najwyższego rzędu i urzeka dowcipem. Chmielewska nie
produkuje swoich sensacyjno-rozrywkowych powieści na
tuziny, jak inni autorzy, ale też zdobyła sobie u czytelników
zasłużoną popularność.

O intrydze „Romans wszechczasów” trudno pisać szcze-
gółowo, aby nie odbierać czytelnikowi przyjemności lektury.
Dość jednak powiedzieć, że zaczyna się to smacznie. Beha-
terka udaje cudzą żonę przed mężem, który okazuje się
być także... podstawionym, obcym facetem. A dalej sytuacja
powoli narasta. Tak jak to mawiał Hitchcock: „Film za-
czyyna się trzęsieniem ziemi, a potem napięcia stopniowo
narasta”. Podobnie i w powieści Chmielewskiej. Ma ona
wszędzie nad mistrzem dreszczowców przewagę — jest nią
urzekający humor i dowcip.

Joanna Chmielewska „Romans wszechczasów”, Czytelnik,
cena 30 zł.

PAMIĘNIK MURARZA

Każdy, kto pamięta wczesne lata pięćdziesiąte, czasy bicia
rekordów w układaniu cegieł na budowach Warszawy, przy-
pomina sobie zapewne nazwisko Michała Krajewskiego. Nie-
konwencjonalna to była — i jest — postać. Trzeba było
jednak ponad dwudziestu lat, aby Michał Krajewski mógł
się zaprezentować czytelnikom w całej swojej złożoności
i bogactwie swego życia.

Przed wojną już komunista i murarz z zawodu — w
czasie wojny żołnierz Pierwszej Armii. Doszedł do stopnia
majora — w czas pokoju czekała go dobra posada w wojsku
i piękne perspektywy na awans. A jednak Krajewski rzucił
to wszystko, aby wrócić do murarki. To on pierwszy na-
uczył warszawskich murarzy pracy systemem trójkowym,
on pierwszy zainicjował ten ruch współwzrostu, który
odbił się echem w całym kraju i do dziś pozostał symbolem
entuzjizmu tamtych lat.

Dziś — po latach — Michał Krajewski wspomina tamte
czasy, opowiada o największej przygodzie swojego życia,
jaką było budowanie nowej Warszawy. I tylko szkoda, że
pamiętnik urywa się tak wcześnie... Szkoda, że nie wiemy
o Krajewskim nic więcej — co było potem, co robi dziś.
Pamiętnik pisany przecież w latach siedemdziesiątych mógł
nam przedstawić dalsze losy bohatera.

Michał Krajewski „Mów o tych dniach Mariensztacie”,
Iskry, cena 16 zł.

DNI BEZ WOJNY

Konstanty Simonow jest jednym z najpopularniejszych
pisarzy radzieckich. Czytelnik polski zna jego najgłośniejsze
powieści: „Dni i noce”, „Żywi i martwi”. „Nikt nie odzi-
sił żołnierzem”. W ogóle okres Wielkiej Wojny Ojczyźnianej
wycisnął swoje ślady na literaturze Simonowa.

W latach 1941-1945 Simonow był frontowym korespondentem
gazety „Czerwona Gwiazda”. Doświadczenia i obserwacje
tego okresu zawarł w powieści „Dwa dni bez wojny”.
„Dwa dni bez wojny” to opowieść o dwóch żołnierzach, nie-
podobnie do korespondenta „Czerwonej Gwiazdy”, nie-
odbił sobowtóra Simonowa, bohatera cyklu „Zapiski Lo-
patina”, wydanego w Polsce przed dziesięciu laty pt. „De-
czyzła”.

Dwa dni bez wojny, to okres, jaki przeżył Lo-
patin z dala od frontu, a jednak w samym centrum wojny
— „drugiej wojny”, jak ją nazywa — wojny, jaką naród
toczył nie tylko na froncie, lecz w całym kraju.

Smutna jest wojenna miłość Lopatina, nie może on nawet
poprosić: „czekaj mnie...”. Ofensywa dopiero się rozpoczyna,
nie wiadomo jeszcze jak potoczą się losy bohaterów, ko-
respondent frontowy może poleć w każdej chwili. Ale jeżeli
nawet tak się stanie, to będzie, jak rozmyśla Lopatin,
jeszcze jedna ofiara, która okupi zwycięstwo. Bóg w zwy-
cięstwo wierzą wszyscy — i wiara ta sprawia, że cięższa
wydaje się walka, łatwiejsze oczekiwanie...

Konstanty Simonow „Dwa dni bez wojny”, PIW,
cena 18 zł.

BOY

Tadeusz Boy-Zeleński napisał książkę „Obrachunki fred-
rowskie”. W przeddzień setnej rocznicy urodzin pisarza —
w kwietniu 1973 roku — narodził się Państwowy In-
stytut Wydawniczy pomyślał o „Obrachunkach boyow-
skich”. Są to satyry, żarty, pastisze w wyborze Barbary
Winklowej i w graficznym opracowaniu Eryka Lipińskiego.

Uroczą ta książka gromadzi teksty na temat Boya, piera-
ta takich karykatury literatury jak Julian Tuwim, Jan Lechoń,
K. I. Gałczyński, Antoni Słonimski, S. J. Lec, Kazimierz
Wyka, Jan Sztaudynier. Wszystkie zresztą wymienić nie
spodoba. A karykatury? Całe mrowie — od Władysława Da-
śewskiego, Mał Berezowskiej, Feliksa Topolskiego po Je-
rzeży Żarubę i Eryka Lipińskiego.

Książka jest — jak się rzekło — uroczą i stanowi coś w
rodzaju holdu potomnych dla Boya — Medusa. Ale myślę,
że byłoby ciekawiej, aby te holdownice teksty uzupełniły
jeszcze jakimś wyborem z tych znanych ataków na
kierunek „Obrachunki boyowskie”. Wówczas mielibyśmy prawdziwe „obrachun-
ki boyowskie”. A tak mamy tylko „księgę jubileuszową” —
o ironio, dla pisarza, który jubileusz wypił już ponad pół
wieku temu.

„Obrachunki boyowskie”, PIW, cena 25 zł.

ORKAN

Józef Dużyk, urodzony w 1928 r. w Krakowie, pracownik
Stacji Naukowej Polskiej Akademii Nauk w Rzymie, jest
autorem wielu publikacji poświęconych historii i literaturze
podwawelskiej, biografii Włodzimierza Tejmajera pt. „Sława
do Bronowia”, biografii Włodzimierza Tejmajera pt. „Sława
do Bronowia”, „Orkan” to opowieść biograficzna
ukazująca się w setną rocznicę urodzin plewy ludu po-
skiego, jednego z pierwszych synów chłopstwa, który
awans kulturalny otworzył drogę do literatury. Jego nowele
i powieści: „Komornicy”, „W rozłokach”, „Drzewie” —
w których ukazał procesy zachodzące wewnątrz wsi, dał
prawdziwy obraz chłopstwa bytowania — zapewnił mu
sławę.

Władysław Orkan stał się symbolem dażeń do przebudowy
stosunków społecznych na wsi, imię jego nadano Uniwer-
sytetom Ludowym w Szybach i Giel Przeworskiej.

Józef Dużyk „Władysław Orkan”, LSW, cena 70 zł

WARTO PRZECZYTAĆ

J. Kaden-Bandrowski „Czarne skrzydła”, t. I/II, Wyd. Lite-
rackie, cena 55 zł.
P. Bagby „Kultura i historia”, PIW, cena 35 zł.
K. Gawlikowska „Szuka Mesopotamii”, Wiedza Powszechna,
cena 50 zł.
W. Spychała „Odmiany losu”, Kłw, cena 30 zł.
J. Gyllenstein „Śmierć Sokratesa”, Wyd. Poznańskie, cena
32 zł.
„Gawędy Skalnego Pochała”, Wyd. Literackie, cena 85 zł.
T. Karpowicz „Dramaty zebrane”, Ossolineum, cena 120 zł.
J. Joyce „Utwory poetyckie”, Wyd. Literackie, cena 30 zł.

ZDARZENIA I ZWIERZENIA

W ZASADZIE TAK...

Umknął nam Jacek Fedorowicz z estrad i ekranów tele-
wizji, pojawił się na falach e-
teru w znakomitej audycji „60
minut na godzinę”. A na dodatek
chwył się pióra i to z bar-
dzo dobrymi rezultatami. Jego
wydawną przed rokiem książka
„Poradnik estradowca” była w
swoim czasie tytułem bardzo
poszukiwanym. Dziś jest to
książka nie do zdobycia.

„Poradnik estradowca” miał
dobrą prasę. Recenzenci przywi-
tali tę książkę z sympatią, ale
trochę na zasadzie kuriozum.
Oto znany i popularny artysta
estradowy wydaje książkę i to
na dodatek książkę świetnie
napisaną. Kiedy jednak Fedo-
rowicz wydał drugą książkę —
recenzentom opadły szczęki.
Czy nie za wiele sobie pozwa-
la artysta estradowy?

Tak więc drugi zbiór felie-
tonów Fedorowicza już zaczęły
spotykać zaczepki i wybrzy-
dzenia. Idę o zakład, że trze-
cia książka zostanie dokumen-
tem skopana. Choćby była le-
psza od dwu poprzednich. Nie-
stety — takie są obyczaje.

Jacek Fedorowicz jest jednak
człowiekiem inteligentnym i z
poczuciem humoru — miejmy

wieć nadzieję, że się tym spe-
cjalnie nie przejmie. A przy
okazji smakowitej anegdotki,
której autorstwo przypisuje się
właśnie Fedorowiczowi.

Oto pewna artystka warszaw-
ska, dość popularna, ale nie
najwyższego lotu, rzuca w roz-
mowie z nonszalancką: „Wiesz,
robię taki recital piosenkowski
— coś w rodzaju Lajzy Minel-
li”. A na to Fedorowicz: „No
tak, Uazja (akcentując L przed-
niojęzykowe) to ty jesteś, ale z
talentem to trochę żęście się
mineli”.

Ale wróćmy do książki, któ-
rej tytuł: „W ZASADZIE
TAK”. Jest to, jak wiadomo,
zwrót bardzo ostatnio popular-
ny. Pisz Fedorowicz: „Mam
nadzieję, że wszyscy natych-
miast pojęli istotę tego sformu-
lowania (...). Śmiało możemy
sobie powiedzieć, że drożnicy
w zasadzie zamykają szlabany
kolejowe, wagon sygnalny służy
w zasadzie do spania, reklama-
cje w zasadzie się rozpatruje,
PZU w zasadzie ubezpiecza, u-
mowy w zasadzie obowiązują
obie strony, a ekspresy kawo-
we w zasadzie działają bez za-
rządu. Zasada „w zasadzie”
stosowana jest bardzo szeroko,

określenie „w zasadzie” zro-
biło u nas zawrotną karierę.”

Fedorowicz napisał coś w ro-
dzaju „Poradnika zdrowia psy-
chicznego”. Dowcipnie i prze-
wrotnie radzi nam jak oglądać
telewizję i nie denerwować się
(bardzo trudne), jak żyć nie
pijąc (jeszcze trudniejsze), albo
jak korzystać z taksówek (żeby
się nie narażać panu kierow-
cy), jak rozmawiać z władzą...

Na przykład: „Ogromnie na-
lwni są wszyscy ci, którzy idą
do jakiegoś urzędu po stemp-
lek, czy jakieś zaświadczenie,
które im się ustawowo należy
i wymagają tego stempelka czy
zaświadczenia, zamiast popro-
sić. Urzędnik, od którego się
czegoś wymaga, czuje się strą-
cony z piedestału, pozbawio-
go czegoś najdroższego: wła-
dzy. Nie ścierpi tego na pew-
no i stempelka nie przyłoży”.

Rozważania Jacka Fedorowi-
cza przypominają nieco prace
słynnego prof. Parkinsona —
tylko jest to Parkinson na na-
szym gruncie, wpisany w spe-
cyfikę kraju nad Wisłą. Oto a-
naliza zjawiska tzw. podkładki.
Fedorowicz Prawo Podkładki
brzmi: „Każdy obywatel uda-
jący się do urzędu musi przed-
stawić informację o sobie i zo-
stać w urzędzie jej odpis”.

Tak więc każdy tysiącej
blondyn jest w stanie przedsta-

wić zaświadczenie, że jest bro-
datym brunetem i wszystko
jest w porządku, bo blondyn
sobie pójdzie, a zaświadczenie
zostanie. „Dotyczy to także
spraw ogólniejszych, nawet sa-
mego faktu naszego istnienia,
które w ogóle nie jest istotne,
jeżeli nie jest poparte odpo-
wiednim zaświadczeniem. Już
przed laty Sławomir Mrożek,
tknięty nagłym, genialnym
przeczuć, opowiedział o
wiedzie pani, która w poczu-
ciu dobrze pojętego obowiązku
obywatelskiego, po dziewięciu
miesiącach ciąży urodziła do-
wó osobisty”.

Jan Tadeusz Stanisławski —
twórca „mniemanologii stosow-
wanej”, autor cyklu wykładów
„O wyższości światła Wielkiej
Noey nad światłami Bożego Na-
rodzenia” osiągnął za swoją
naukową działalność tytuł pro-
fesa magistra inżyniera. My-
ślę, że Jackowi Fedorowiczowi
za dzieło naukowe pt. „W za-
sadzie tak” należy się także
tytuł profesorski. Może to być
nawet tytuł „humoris causa”,
choć czytając te rozważania
nie zawsze chce nam się śmiać.
Ale czasem nie ma innego
wyjścia.

WIDOK

LEWYM OKIEM

WÓZEK dla BLIŹNIĄT

Nie było prawie dnia, żeby
na naszym warszawskim pod-
wórku nie rozległ się głos han-
dlarza starzyzną: fajans sprze-
daje za galgany, stare garde-
róbę, łapcie, kaptcie, stare ka-
pelusze kupujcie!

Zgarbiony, brodaty Żyd w
jarmulce i chalcie miał na
plecach w worku kilka talerzy
i to był cały jego obrotowy
kapitał. Nie umiem sobie wy-
obrazić, jak można było w tym
zawodzie zapewnić egzystencję
lewej zaryzycy gromadzie
dzieciaków, ale chodzi mi dziś
o coś innego: taki handlarz to
była bardzo prymitywna, ale
realna forma krącenia pomie-
dzy ludźmi rzeczy używanych,
zuzitych, ale jeszcze coś war-
tości. Wyższą formą były skle-
py ze starzyzną, o ileż liczniej-
sze niż dzisiejsze bazy i ko-
misy, był wielki magazyn uży-
wanych mebli Łuśniaka na
Mokotowskiej, z ogromnym
„asortymentem” otoman, biu-
rek i sypialek złota brzoza.

A właśnie z meblami i w o-
gół z rzeczami dużymi, o du-
żej jeszcze wartości, kłopot naj-
większy. Jak się ich pozbyć?

Czy wyrzucić pianino ok-
nem? Czy wózek dziecięcy

wcisnąć do piwnicy pomiędzy
tuzin stojących tam już wó-
zków, bo a nuż się jeszcze przy-
da? Co zrobić z garderobą po
nieboszczyku, jak pozbyć się
akwarium, które nie mieści się
w nowym, spółdzielczym me-
trażu? Można dać ogłoszenie
do gazety. Takie ogłoszenie ko-
sztuje około trzydziestu złotych,
uważa się jeden jedyny raz
pomiędzy dziesiątkami innych,
najrozsądniejszych ogłoszeń i trze-
ba z dużym optymizmem liczyć
na to, że zostanie zauważone
przez ewentualnych zaintere-
sowanych, skoro nie zauwa-
ża się przecież nierzadko najbardziej
ważnych wiadomości o trzęsie-
niach ziemi i o tym, kto kogo
ostatnio porwał. Kosztuje oko-
ło trzydziestu złotych a dotyczy
obiekta — na przykład akwa-
rium — o wartości czterystu
złotych. Żaden interes.

Żaden interes również dla
tym, którzy chcą kupić coś z
używanych rzeczy, powiedzmy
— sprzętarki do petryfikowa-
nia kalodonta. Przez ile lat
muszą czytać niedzielne wyda-
nia wszystkich gazet, żeby tra-
fić na jednorazowe ogłoszenie
czegoś takiego, co by akurat
odpowiadało potrzebom?

Dlatego — mimo wszystkich
zastrzeżeń — mają swoją ra-
cję bytu i nie znikają kartecz-
ki, wyrwane z zeszytu cówki i
przyklejone na ścianie koło
przystanku tramwajowego.
Karteczka wisi długo, deszcz
splucze z niej ostatnią literę,
a jeszcze wisi. Urwisy dopisu-
ją do niej co chcą, przekreślają
słowa, nazwiska, adresy. Urwi-
sy w ogóle rozklejają kartecz-
ki, których jedynym celem jest
zatrucie spokoju upatrzonego
osobom. Ogłaszają o sprzeda-
ży wózka dla bliźniąt, podając
adres pobożnej starej panny, i
sprzedają białych myszek pod
adresem pijalni piwa. A jed-
nak karteczki pojawiają się
wciąż na nowo, ludzie szukają
zaj drogą kontaktów, unikają
zbyt dużych a mało efektyw-
nych kosztów, próbują sobie
radzić.

Są jeszcze bazy, mamy taki
i w Łodzi. Nie mam poję-
cia, jaką drogą trafiają uży-
wane łachy do bazarowych
„kupców”. Czy trzeba je za-
nieść tam, na „stoisko”? I tam
się wyklócać, wygłupiać, kra-
marzyć z pyskaniem, szczerw-
nym zawodowcem, po to żeby
mu wreszcie zostawić rzecz za
darmo? Czy iść i samemu trzy-
mać na ręku kożuszek, z któ-
rego wyrosły dzieci, i zegar,
którego się nie lubi? Osobiście
wolałbym te rzeczy podpaść, o

ile są łatwopalne, i nie zawa-
cać sobie głowy. Ale jednak
szkoda, szkoda nawet że spo-
rządzenie punktu widzenia. To
nie są bezwartościowe śmieci.

Wiem może by spróbować je-
szcze jednej formy kontakto-
wania potencjalnej pary: sprze-
dawcy z nabywcą? Formy, któ-
ra by łączyła zalety systemów
aktualnie praktykowanych,
zwiększała szanse ich skutecz-
ności, a jednocześnie byłaby
tania? Myślę o legalnych, zins-
tytucjonalizowanych tablicach
ogłoszeń, ustawionych w kilku
najczęściej odwiedzanych punk-
tach miasta. Tablice powinny
być estetyczne, oszkłone, oświe-
tłone wieczorem, z wygodnym
dostępem, a nie blokujące ru-
chu ulicznego. Można je po-
dzielić na działy tematyczne.
Ogłoszenia dużym, czytelnym
drukem, ale bez różnicowania
cennego i bez rysunków, bo to
by już była reklama. Każde o-
głoszenie z datą wstąpienia
za groszową opłatą cztery czy
sześć tygodni. Jeden emeryt
wystarczy do obsługi takich
tablic. Niech by był na poziomie
etatu w MHD-Targowiska. Tył-
ko rany boskie — niech się z
tego nie robi osobne biuro z
działem planów perspektywicz-
nych...

CWIEK

PROPOZYCJE

OWACJE dla PZPN

Nie zazdroścę Kazimierzowi
Górnickiemu. Wprawdzie spotka-
nie z Węgrami ma charakter
meczu towarzyskiego, ale po roz-
gromieniu Holendrów w Choro-
wie przegrać tego nie można, nie moż-
na nawet zremisować. Kibice piłki
nożnej tego by nie wybaczyli. W
Amsterdamie piłkarzy naszej
jednostki nikt głośko nie gło-
wał, nie będzie. Raczej wręcz
przeciwnie. A tu kłopotów nie
brakuje. Jan Tomaszewski kon-
tuzjowany, Kazimierz Deyna cały
w nerwach.

Incydent, jaki zdarzył się w
czasie meczu stołecznej Legii z
zabrzeńskim Górnikiem jest już
powszechnie znany. Gazety przy-
niosły sensacyjnie niemal brz-
miący tytuł: „Kazimierz Deyna
usunięty z boiska”. Nerwy po-
niosły kapłana narodowej jedy-
nastki i oto mamy znów niemal
ogólnonarodową dyskusję i wiel-
kie walenie o sprawiedliwość.
Jedni pragną kary dla Kazimie-
rza Deyny, inni woląby, aby
Polski Związek Piłki Nożnej
przymknął oczy na całą sprawę
i lekawie wybaczył. Nie zazdro-
ścę działaczom PZPN i bardzo
sam sobie nie życzył znaleźć się
w ich skórze.

PZPN decyzję podjął: naj-
niższy wymiar kary, zawieszenie
na najbliższe trzy mecze ligowe
i zawieszenie w pełnieniu funk-
cji kapłana narodowej drużyny.
Przypominam tę decyzję, bo do-
piero teraz się zaczęło.

Jerzy Bożyk z Warszawy w
liście do „Przeglądu Sportowe-
go” dowodzi, że Kazimierz Dey-
na „ohryzwał w praktyce za jed-
no przewinięcie trzy kary: OD-
SUNIĘCIE od trzech spotkań
ligowych, POZBAWIENIE funk-
cji kapłana narodowej jedenas-
tki i NAJWIĘKSZA — został po-
stawiony pod presję opinii pu-
blicznej”. Sam Kazimierz Deyna
— jak doniósł tenże „Przegląd
Sportowy” — wysłósował do Ka-
zimierza Górnickiego list z prośbą
„o zwolnienie go z udziału w
najbliższych meczach drużyny
reprezentacyjnej”. Powodem tej
prośby jest to, że K. Deyna —
jak pisał „Przegląd Sportowy” —
„nie ma pewności, czy w aktual-
nym stanie swego samopoczucia
mogłoby być przydatny w zespole
narodowym”. Ale Tomasz Hopfer
uspokoili kibiców. Poinformował
ich z telewizyjnego ekranu, że
Kazimierz Górnicki porozmawiał z
Kazimierzem Deyną i ten ostatni
połknął pastylki na uspokojenie
nerwów i postanowił wystąpić w
reprezentacji. Naprawdę nie ma
czego zazdrościć Kazimierzowi
Górnickiemu.

Nie zajmowałbym się „spra-
wą” Kazimierza Deyny, gdyby
nie należało zabierać chleba tym, któ-
rzy stale pisują o sporcie. Oj,
jak oni tego nie lubią, gdy ktoś
ich wyręcza. Ale „sprawa” ta
ma charakter ogólniejszy. Ka-
zimierz Deyna postawił bowiem
PZPN w sytuacji kryzysowej.

Na początku sierpnia 1973 roku
PZPN ogłosił oświadczenie w
sprawie niektórych umownych
zawiszek w piłkarstwie. W oś-
wiadczeniu tym znalazło się m.in.
następujące stwierdzenie:

„Zarząd PZPN będzie kon-
sekwentnie egzekwował od re-
prezentantów obowiązki zawo-
dowe, godną postawę i wzorowe
zachowanie. Zarząd PZPN sił
na stanowisku, że w parze z
przywilejami muszą iść obowią-
zki, że godność reprezentanta
zwiększa wymagania”.

Jerzy Bożyk z Warszawy w
liście do „PS” wątpi, czy za in-
cydent w meczu Legii z Górni-
kiem należało K. Deynę pozbaw-
ić funkcji kapłana reprezenta-
cji narodowej? „PS” odpowiada-
jąc J. Bożykowi pisze:

„Pozbawienie Kazimierza Dey-
ny funkcji kapłana reprezenta-
cji nasuwa nam, jak i chyba
wszystkim kibicom, podobne
wątpliwości...”

Wielokrotnie w tym cytacie
pochodził od redakcji „PS” i
nie jest przypadkowy. Myśl nie
została dokonczona. „PS” ma
wątpliwości, a są to wątpliwości
nie tylko redakcji. Sprawodaw-
ca „Sztandaru Młodych” napisał:
„Kazimierz Deyna udaje się do
szatni, a przechodząc wzdłuż
trybun słyszy wielką owację na
swoją cześć. Ba, widzę klaszcze-
ce osoby zasiadające na trybunie
honorowej. Stadion jest święcie
przekonany, że jego ulubieniec
wyrządza krzywdę. My je-
steśmy odmiennego zdania”.

PZPN na szczęście też. A
PZPN postawiony był w sytuacji
nie do pozazdroszczenia. Albo

ulec ogólnemu przekonaniu, że
wobec K. Deyny należy zastosow-
wać taryfę ulgową, albo być
konsekwentnym wobec własnych
zobowiązań i poglądów. Tym ra-
zem owacje należały się PZPN.
Również i dlatego, że Zarząd
PZPN gwarantował, że Wydział
Sędziowski ogłosił o przeanalizowa-
niu pracy sędziów i jego wy-
dyktów z meczu Legii z Górni-
kiem. Niektórzy uważali bowiem,
że nim K. Deyna dostał „złotą
kartkę” należała się ona już
Henrykowi Wierzbickowskiemu z Gór-
nika, który Kazimierza Deynę
austował, za faul go nie prze-
prosił — jak to nakazuje oby-
wiązuje na boisku zasada —
„uciekaj szybko z „miejsca prze-
stępstwa”. Ale to K. Deynę nie
rozgrzesza.

Piłka nożna cieszy się dużą
ogromną popularnością. Dzieci
telewizji mecze piłkarskie oglą-
dają miliony kibiców. Już ten
fakt sprawia, że na stadionach
nie może dochodzić do żadnych
incydentów. Wprawdzie Stefan
Sienkiewicz w „Życiu Warszawy”
twierdzi, że „aniolowie w piłce
nożnej nie grają”, ale to tylko
wyraża problem. Tym bardziej
trzeba więc dbać o grę fair na
piłkarskich stadionach. Powinni
to również zrozumieć futbolowi
„gwiazdy”.

Owacje dla PZPN są więc
pełni zasłużone.

MARCIN RODAK

TEATR

URSZULA ASZYK-MILEWSKA

KONFRONTACJE PEŁNE NIESPODZIANEK

Słoneczna pogoda, wystawa kwiatów i wystawa rzeźb na Ryнку witała Jelenią Górę gości przybywających na VI Spotkania Teatralne. W gmachu Teatru im. Cyprjana Norwida oczekiwała uczestników Spotkań wystawa zorganizowana z okazji 30-lecia tego Teatru i wystawa rysunków teatralnych Krzysztofa Pankiewiczza. W programie Spotkań, które odbywały się w dniach od 14 do 21 września br., przybyli z różnych stron Polski krytycy, recenzenci, historycy teatru i twórcy teatralni znaleźli wiele interesujących imprez. Aby czas mijął atrakcyjnie dyrekcja Jeleniogórskiego Teatru zorganizowała nocną wyprawę na zamek chojnicki, wycieczkę do Książa, gdzie w zamkowej architekturdzie Teatr z Walbrzycha zaprezentował uroczą inscenizację „Parad” J. Potockiego. Z terminem Spotkań Jeleniogórskich zbiegła się data Jubileuszu 30-lecia Teatru im. Cyprjana Norwida. Jubileuszowe uroczystości w Jeleniej Górze zapoczątkowały Sztafeta 30-lecia Teatrów Dramatycznych Na Ziemlach Zachodnich. Sztafetę zorganizował Zarząd Główny Towarzystwa Kultury Teatralnej wraz z dyrekcjami teatrów w Jeleniej Górze, Opolu, Olszynie oraz Szczecinie. Kolejne we wszystkich wymienionych miastach odbywać się będą podobnie jak w Jeleniej Górze – sesje historyczne, wystawy, przeglądy spektakli. Teatr im. Cyprjana Norwida poszerzył ten program Sztafety o film dokumentalny, w którym wykorzystano archiwalne zdjęcia, afisze, przeprowadzono wywiady z najstarszymi pracownikami teatru, zarejestrowano fragmenty najciekawszych przedstawień ostatnich sezonów.

Teatr w Jeleniej Górze powstał w roku 1945 r. Był to pierwszy stały, zawodowy polski teatr w tym mieście. Twórcami tej pierwszej sceny byli członkowie Studium Dramatycznego przy Teatrze Ziemi Rzeszowskiej. Rozpoczęli oni swoją działalność w Jeleniej Górze w poniedziałek budynku teatralnym — 23 sierpnia 1945 roku, inscenizacją „Zemsta” A. Fredry w reżyserii Stefania

Gintel-Domańskiej, pierwszego dyrektora tego teatru. Dla pamięci odnotujmy, że w tym historycznym przedstawieniu kroki na scenie stawiał głośni dzisiaj twórcy: Adam Hanuszkiewicz w roli Wacława, Kazimierz Dejmek w roli Papkina. W trzydziestoletniej historii jeleniogórskiego Teatru odnajdujemy także debiuty sceniczne Wiesława Gołasa i Franciszka Pieczki, tu uczył się trudnej sztuki kierowania teatrem Antoni Bilczak, w teatrze jeleniogórskim pracowali jako kierownicy literacy – Edward Koziński, Jan Nepomucen Miller. Zmieniały się dyrektori, zmieniał się zespół aktorski. Do dnia dzisiejszego pozostaje w Jeleniej Górze garstka wiernych, wśród nich nestorka zespołu, znakomita aktorka – Zuzanna Łozińska, która na scenie jeleniogórskiej obchodziła niedawno jubileusz 60-lecia pracy artystycznej.

— Od września 1973 roku dyrektorem kierownictwo artystyczne sprawuje w Teatrze im. Cyprjana Norwida — Alina Obidniak, kierownictwo literackie — Janusz Degler, dyrektorką administracyjną zajmuje się Henry Szoka. Trzeba z pełnym uznaniem stwierdzić, że działalność Teatru w Jeleniej Górze nie ma nic wspólnego z wyobrażeniami o teatrze prowincjonalnym. W repertuarze ostatnich sezonów znajdujemy tytuły sztuk z repertuaru dzieł wybitnych: „Cyrano de Bergerac”, „Pierścien wielkiej damy”, „Peer Gynt”, „Wyzwolenie”, „W mym dworku”, „Tango”, „Przy drzwiach zamkniętych”. Za kilka dni odbędzie się premiera „Snu nocy letniej” W. Szekspira w reżyserii H. Tomaszewskiego. — Zespół teatru w znacznej swej części jest młody, czy nawet bardzo młody, bo spora grupa stanowią tu studenci białej PWSFTiVIT. Tu młodzi aktorzy uczą się sztuki scenicznej obcując z aktorami doświadczonymi, pracując pod okiem takich sław jak Henryk Tomaszewski, Krzysztof Pankiewicz, Adam Hanuszkiewicz, których Jelenia Góra pozyskała do współpracy.

W czasie uroczystości jubileuszowych Teatr im. Cypriana Norwida

przedstawiła licznie zebranej publiczności inscenizację „Beniowskiego” w reżyserii A. Hanuszkiewicza. Gościnnie wystąpił tego wieczoru — A. Hanuszkiewicz w roli Narratora i D. Olbrychski w roli Beniowskiego. Był sprawiedliwie zagrza mogli też Jełnógórsce aktorzy — Hanuszkiewicz ustąpił miejsca w drugiej części przedstawienia tutęższemu Narratorowi — K. Miranowiczowi, a Olbrychski w scenie pojedynku pozwolił powalczyc szabelką — J. Góralczyki w roli Beniowskiego. Inscenizacja była powtórzeniem warszawskiej. Tak jak na scenie Teatru Narodowego scenograf M. Kolodziej rozwinął tu gigantycznych rozmiarów pas słucki w górnej części umajony kolorowym kwieciami. Takie same jak w Warszawie kostiumy, ta sama muzyka A. Kurylewicz. Tylko tekst nieco okrojono, co razilo zwłaszcza w części drugiej. Ale wykonanie — wdzięk młodych aktorów, muzykalność, sprawność J. Góralczyka — niczym nie ustępuje inscenizacji warszawskiej.

Po jubileuszowych emocjach, po wręczeniu odznaczeń, bukietów kwiatów, po wruszących słowach, jakie padały ze sceny — rozpoczęły się VI Spotkania Teatralne. Spotkaniom towarzyszyło Seminarium Teatrologiczne, poświęcone wspólnym problemom teatru. Kolejno referaty wygłosili: A. Hausbrandt, S. Marczański, Oborski, R. Szydłowski, Z. Osinski, W. Filler. W czasie dyskusji rozważano problem tradycji we współczesnej inscenizacji, kierunki poszukiwań współczesnego teatru, rolę i miejsce widza we współczesnym teatrze. — VI Spotkania Teatralne w Jeleniej Górze były w założeniu organizatorów — Konfrontacją Scen Studyjnych. Odbywały się bez jury, nagród i dyplomów. Po przedstawieniach wrzalo jednak. Wśród aktorów, w kręgu krytyków i recenzentów dyskusje toczyły się długimi godzinami. Profil Spotkań pozwolił bowiem na derzenia niekiedy bardzo drastyczne. Obok przedstawień wartościowych pojawiały się, niestety, szmira i nieudolność akademicka. Ten sam Teatr z Wałbrzyska pokazał bardzo dobrze zagraną inscenizację „Parad” w reżyserii i scenografii B. Forda — „Hanaoki i — „Jana Macieja Karola Wścieklice” w reżyserii A. Strokowskiego, ze scenografią J. Banuachu, przedstawienie przygotowane z widocznym wielkim nakładem pracy, z wielkim przejęciem obydwu tych twórców, ale za to — z fatalnym aktyorstwem, godnym opisanja jako przykład aktorskiej tandety. Wątpliwy sens miało przywiezienie przez Teatr Plocki „Modernizmu” w reżyserii M. Kuleszy, widowiska, które w warunkach naturalnych tzn. w salonych secesyjnych Muzeum Mazowieckiego, spełnia rolę udramyzowanego pretekstu. Co najmniej zdziwienie budziła sztuka A. Turczyńskiego, „Ogród o poranku” przedstawiona przez scenę

koszalińska, w reżyserii i scenografii J. Tartylly. I choć aktorstwo i praca reżyserska są tu raczej poprawne, to trudno wytłumaczyć sam wybór sztuki, której stylizyka i język budzą poważne zastrzeżenia. Tematyką i konstrukcją bohaterów utworu ten przypomina „Dom kobiet” Natkowskiej. Jest jednak dziełem nieudolnie napisanym, z błędami kompozycyjnymi, brakiem logiki w działaniach postaci dramatu, z pozabawionym motywacji zakończeniem.

Uczestnikom tegorocznych Spotkań wypadło przeżyć też pokaz złego gustu w zielonogórskiej inscenizacji „Edwarda II”. W przedstawieniu tym rażące było wypaczenie sensu dramatu Marlowe'a, irytowały kostiumy, krzyk aktorów, rozpaczliwe, nieprze-myślane gesty. Do dyskusyjnych już raczej przedsięwzięć można zaliczyć inscenizację „Przy drzwiach zamkniętych” Sartre'a w reżyserii K. Pankiewicza, przygotowaną z zespołem jeleniogórskiego teatru. Tu bowiem zastrzeżenia budziła interpretacja dramatu i nadmierne epatowanie widza seksem, co stało się pierwszą przyczyną zagubienia głównej myśli filozoficznej tego głośnego utworu. Trzeba jednak zauważyć interesującą rolę M. Maj grającej Stelli i epizodyczną postać Kelnera, którego świetnie zagrał S. Cichocki.

Gdyby na przedstawieniach w czasie VI Spotkań zasiadało jury, na pewno wszystkie główne nagrody przyznałoby teatrowi jeleniogórskiemu. Oczywiście, sprawiedliwie należałoby również nagrodzić reżysera „Parad” i aktorów grających w tej inscenizacji główne role, nie można byłoby pominąć także autora scenografii do „Jana Karola Macieja Wścieklej”, a za aktorstwo konieczne należałoby nagrodzić Danutę Kisiel-Drzewińską w roli Cesarzowej Elżbiety w blazenadzie mimicznej przywiezionej przez Wrocławski Teatr Pantomimy. Ale poza tym, naprawdę zasłużyły na wysokie uznanie realizacje sceny jeleniogórskiej: „Kram z piosenkami” w nowym układzie tańców i piosenek, wyreżyserowany przez Alinę Obidniak „Lalek” Z. Herberta w reżyserii Ryszarda Majora i za scenografią J. Banuchy, „Tango” S. Mroźka w reżyserii J. Burskiego, pokazane wprawdzie poza Konfrontacjami, ale przecież — uczestnikom VI Spotkań. W tej ostatniej inscenizacji odnotujmy znakomitą rolę Zuzanny Łozinskiej — Babci i Macieja Staszewskiego — Artura. Bardzo interesującą propozycją była realizacja „Lalka”. Zaowocowały tu wyraźnie doświadczenia reżysera zdobyte w pracy ze Studenckim Teatrem „Pleonazmus”. „Lalek” jest sztuką trudną do wystawienia. Dramat ten zbudowany z trzech części: „Opis”, „Stodola”, „Ubarwienie do snu” — jest jak zaznacza autor: „sztuką na głosy”, skomponowaną jak utwór muzyczny. Najtrudniejsze jest tu przeniesienie na scenę symultanicznie rozgrywają-



Fot.: Grażyna Wyszomirska

cych się zdarzeń i niewątpliwymi liryzm części trzeciej. Udało się to zrealizować R. Majorowi w dużej mierze dzięki rezygnacji z tradycyjnego podziału na scenę i widownię, dzięki wykorzystaniu otwartej przestrzeni sali studyjnej. Sprzyjały inscenizacji tego dramatu także pomysły architektoniczno-plastyczne scenografa Banuchy. Proste skrzynie, w jakich zwykło się przewozić butelki z wodą czy piwem, zmieniają łatwo swą funkcję i pełnią rolę stołów, ławek, mówni, katafalku. Widzowie zasiadając wokół scenicznych miejsc zdarzeń są zarazem uczestnikami zabaw w „Stodole”. Zamknięci ścianami z nie heblowanych desek obserwując zajęcia w „Stodole” czują się współwinni bezsensownej śmierci Łalka. Śmierci tej właściwie nie nie zapowiada. Łalek czeka na Łodzie, która się spóźnia, bo jest gdzieś jakiś Leon. Kłós chce ostrzec Łalka, ale wciąż gnęty do pijakiej zabawy nie zdąża. Za „Stodolą”, poza polem widzenia postaci dramatu i widzów dokonuje się mord. Następuje część trzecia dramatu, przygotowania do pogrzebu, symboliczny pogrzeb, wieńce, kwiaty i słowa poety, za sprawą których widz opuszcza salę teatralną nie przeżany tym co zasłao, ale pod wrażeniem myśli wypowiedzianych przez poetę, że śmierć i przemianie jest prawem natury. Oto koniec najekscytowszej propozycji Spotkań, najbardziej przemysłanej i dojrzalej. Szkoda, że organizatorzy tegorocznych Spotkań nie zastanowili się nad jakąś formą selekcji. Szkoda, że nie było to konfrontacje wyłącznie nowych i ambitnych poszukiwań teatralnych, szkoda, że dopuszczono na scenę, także teatralną szmire.

PLASTYKA

MALARSTWO **Zygmunta Hyżego**

Wystawa jubileuszowa Zygmunta Hyżego otwarta w Salonie Sztuki Współczesnej na Piotrkowskiej, ma swój „dalszy ciąg” w nie opodal mieszczącym się Klubie Dziennikarska. Pomysł doskonały. Iako że wszystkim tu „po drodze” — wart kontynuowania. Takie dwuczęściowe wystawy, oddalone od siebie o kilkadziesiąt kroków, kiedy to trzeba wyjść z jednego pomieszczenia, gdzie coś wisi, stoł lub leży i przejść do innego kawałkiem ruchliwej ulicy, która jest częścią innego świata, odrzucić się o ludzi, o hałas, o odetchnąć innym powietrzem, wejść do innego pomieszczenia, gdzie znowu coś wisi, stoł lub leży — w efekcie okazać się może bardzo ciekawym zabiegiem. Na przykład w Salonie Sztuki widać obrazy, a w Klubie Dziennikarska — rysunki tego samego autora. Albo w Salonie stoja rzeźby, a w Klubie widać rysunki i szkice tegoż rzeźbiarza. Warianty można mnożyć i każdy z nich może okazać się dobry. Pewien testem, że korzyści odniosła tu wszystkie strony zainteresowane wystawianiem przedmiotów sztuki. Tylko trzeba do tego jeszcze ludzi odpowiednio doinformować, że coś takiego ma miejsce.

Tak więc Zygmunt Hyży został podzielony na dwie części: przegrodzone tawalkiem ulicy Piotrkowskiej. I do prawdziwego ogląda go się w takiej formie daleko lepiej, niż gdybyśmy mieli do czynienia ze zgromadzeniem wszystkich obrazów w jednym miejscu. Ten „przezwidywacz”, jakim w tym wypadku jest ulica, bardzo okazuje się tu korzystny. Hyżego bowiem trzeba oglądać spokojnie i bez pośpiechu. Wielu przynajmniej, że sztuka jego na to zasługuje.

Malarsztwo Hyżego jest malarsstwem realistycznym, z dużą domieszką łagodnego i cichego liryzmu w jednych płótnach i z niespodziewanymi akcentami głębokiej powagi, zadumy i wzniósłości w innych. Jest to malarsztwo sumienne, a raczej może trzeba by tu użyć zapomnianego słowa rzetelne. Malarsztwo oparte na warsztacie dobrym, gardzące tanim efektem, łatwymi chwytami, dekoracyjnością sama dla siebie. W swojej skromności i bezkompromisowości bardzo ładnie i skutecznie się broni. Ekspresja, gdy się w nim nadarzy, jest stonowana, skrupulatnie skontrolowana: ot, tyle jej tylko, ile potrzeba. Uczucie w tym malarsztwie wydaje się być czymś na wskroś prywatnym, bardzo osobistym. Emocje ukryte są skrzętnie pod maską obiektywnej obserwacji.

Mam do tego malarstwa swój osobisty stosunek, wypływający z dużej znajomości autora, człowieka wielkiej łagodności, życzliwego światu i ludziom, cierpliwego w swoim codziennym trudzie artysty, ciekawego wszystkiego i wszystkich, skromnego skromnością staroświecką, a zatem znającego swą wartość, lecz szanującego wartości cudze. Zawsze szalenie tolerancyjny w stosunku do innych sposobów malowania i wyrażania myśli. Właśnie dlatego, że o nim wyłożyłem już tak wiele, postanowiłem i o nim wyłożyć, to zarówno z kultury o sobiści Hyzako jak i z głębokiego zrozumienia faktu, że w sztuce każdy ma prawo do samostanowienia. Dlatego najbardziej awangardowe czy dziwne wytworzenia Zygmunta Hyzy ocenia dyskretnie i ostrożnie, co nie oznacza wcale, że wybrzyź jest swojego własnego zdania i skłonności do oceny samo-

dzielnej. O tym, że Hyży ma swoje własne widzenie świata i swoje własne zdanie na liczne problemy sztuki, świadczą dobitnie jego obrazy.

Zygmunt Hyży jest przede wszystkim pejzażystą; malarzem wyrosłym na bazie polskiego postimpresjonizmu. Kolor jest fundamentalnym elementem jego sztuki. Tak o tym powiada:

— „Na niejż pątrzę pod kątem ko-
loru, staram się naturę wzbogacić. W
zieleni naturalnego krajobrazu dopatrzy-
łem się bogactwa innych kolorów. Stara-
m się w pewnym sensie — naturę
wzbogacić. Rzecz wygłada w ten spo-
sób — pozostaniam już przy zieleni —
że przecież wiem, iż grupa drzew jest
zielona, ale kiedy obserwuję ten frag-
ment pod kątem koloru, to przecież na-
kładają się na siebie takie barwy jak
kolor nieba, ziemi, kwiatów — czy też
towarzyszące im architektury. Wszystko
to razem sprawia, że w tym zestawie-
niu zieleni owych drzew ma zupełnie
inny charakter. Ich kolor zmienia się
na płótnie. Po prostu nie przenoszę do-
słownie kolorów tak, jak one występują
w naturze, albo dokładniej — tak, jak
je widzimy na pierwszy rzut oka.”

Niezwykłe trafnie scharakteryzował istotę twórczości Zygmunta Hyżego Henryk Pawlak we wstępie do katalogu: „Cała twórczość artysty jest manifestacją sztuki wyrażającą afirmację życia, praw natury, obiektywnego porządku rzeczy. Tym mocniejże wrażeń zawsze sprawiałły te obrazy Zygmunta Hyżego, które stanowiły protest przeciwko naruszaniu ładu i harmonii bytu. Temat antywojenny znalazł w nim twórcę pełnego pasji i zaangażowania. Jest także w innych jego obrazach, pokazujących ruiny historycznych zamków, głębsza refleksja o przemianach i nieśmiertelności dzieł ludzkich. Może właśnie dlatego malarz stara się na swych płótnach utrwalic te ulotne chwile, kiedy krajobraz, architektura, lewiaty, ludzie i przedmioty polawiają się jako pełne spokoju i ładu obrazy, kiedy zapada cisza i bezruch”.



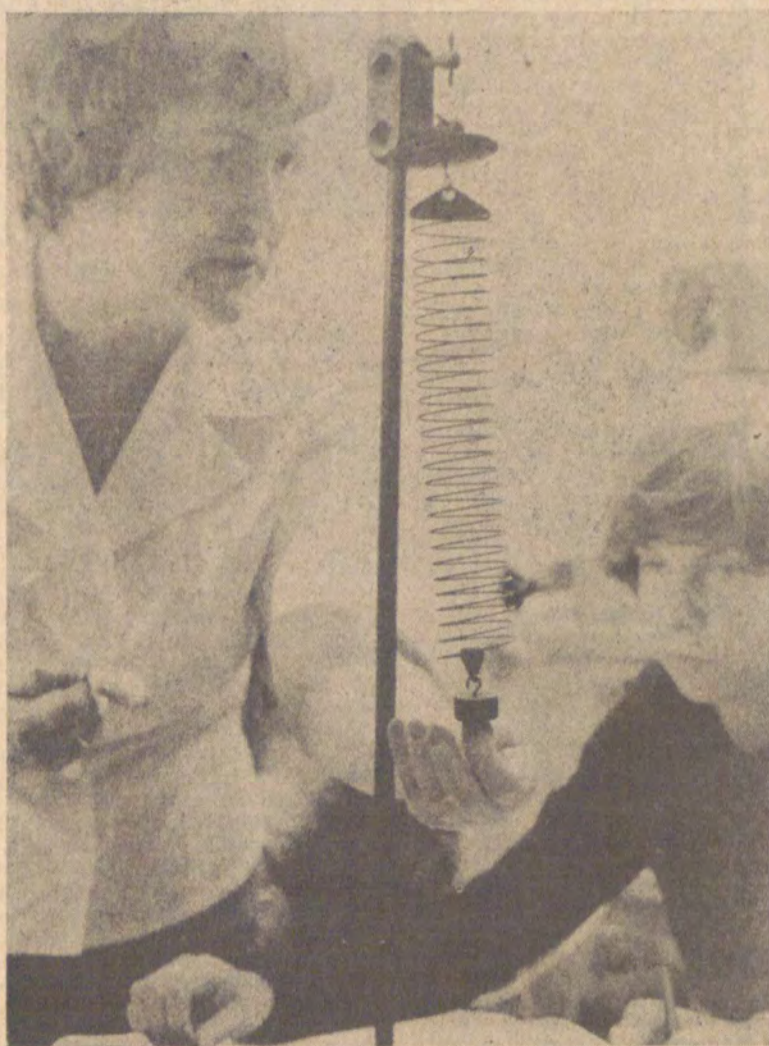
Fot.: B. Słowiński

A. GRUN



DZIEŃ NAUCZYCIELA

FOTOREPORTAŻ
WŁODZIMIERZA PARYSA



WIZJA

Śmierdziało. Rozlewający się jak gęsta galareta smród nie rozchodził się, bo gdzie miał się rozchodzić? Był wszędzie. Gigantyczny korek powstał na 1885 kilometrze autostrady, szlaku łączącym Lizbonę z Moskwą. Stałem gdzieś chyba w okolicy Sochaczewa, a może to już było Kutno, trudno powiedzieć. Jak okiem sięgnąć, widać było tylko błyszczące dachy samochodów najrozmaitszych marek, wśród nich jakieś dziwne pojazdy oznaczone symbolem „128 P”. Dopiero z kolorowych nalepek i różnych śmiesznych napisów zorientowałem się, że jadą na zjazd weteranów szos w Turynie.

Gruby — bo tak nazwałem go od razu w myśl — siedzący w wozie na sąsiednim pasie, wyjął tają na twarzo, otworzył termos i zajął się niefrasobliwie rozkoszami podniebienia.

Dla równowagi obrazu musi być również i Chudy. Ten dla odmiany otworzył radio, rozłożył fotele i oddał się kontemplacji. Zaduch teżał do tego stopnia, że musiałem wiać pod ręczną butle z tlenem. Na niebie zatrzępotały bezradnie helikoptery, zataczyły łuk nad stalową pustynią i oddaliły się w kierunku Warszawy. Sytuacja zaczęła się więc stabilizować, trzeba było pomyśleć o najbliższej przyszłości. Pierwszy ocenił się Chudy. Machnął w moim kierunku przyjaźnie ręką i powiedział:

— Może pójdziemy poszukać pobocza?

Poszliśmy. Po drodze przylaczył się do nas Gruby sapiąc pojeździe z wysiłku. Między nie-

którymi pojazdami przerwa była tak mała, że nie mógł się zupełnie przecisnąć, schylał się więc, usiłując prześliznąć się bokiem, kilka razy wyciągałszy go z opresji wspólnymi siłami. Kolorowa mozaika dachów nie miała jednak końca. Coraz bardziej zdenerwowani i zmęczeni brneliśmy przez gmatwani-

WŁODZIMIERZ SCISŁOWSKI HUMORESKI

ne błotników, zderzaków i halogenów.

— To panowie nie wiedzą — odezwał się życzliwie najbliższy kierowca, że autostradę poszerzono o 60 pasm?

Nie wiedzieliśmy. Gruby obsunął się bezwładnie przy jakiejś karoserii, ktoś podsunął mu kubek z ciepłą coca-cola. Podał nam adres rodziny, prosił aby zawiadomić żonę. Poszedłem z Chudym naprzód. Na wpół żywi ze zmęczenia znaleźliśmy się nagle pośród rumowiska pogiętych wraków. Dalsza wędrowka była niemożliwa: dżungla wyrwanych kabli, potłuczonych resorów i kierownic, ostrych jak nóż blach zagroziła nam drogę. Cofneliśmy się na autostradę.

— To panowie nie wiedzieli — pisał ktoś w najbliższym sąsiedztwie — że za eurostradą rozciąga się składowisko zużytych samochodów?

Nie wiedzieliśmy. Ostatecznie nikt z nas nie docierał nigdy do obrzeża asfaltowej wstęgi.

korzystaliśmy zawsze z tej środowiskowej części. Nie wiedzieliśmy również, że składowisko sięga aż do następnej autostrady, co było za następną autostradą, łatwo się już domyślić, gdzie jednak w końcu były nasze miasta, nasze domy, nasze rodziny?

Po drodze docuciliśmy Grube- go, potem trochę zabłądziliśmy ale jak mityczny Tezeusz wna- leźliśmy w końcu drogę do swoich wozów. Tezeuszowi po- mogła nić Ariadny, nam sko- rupki od jaj, które porzucił Gruby. Uściskaliśmy mu z wdzięcznością rękę. Nad moim samochodem wisi srebrny he- likopter, po sznurowej drabince schodził funkcjonariusz. Wycią- gnął z raportówki bloczek z mandatami i zapytał uroczliwie:

— To obywateli nie wiedzieli, że na autostradzie obowiązuje zakaz zatrzymywania się?

Wiedzieliśmy, ale mandat musieliśmy zapłacić. Cała na- dzieja w tym, że eurostradę mają znów rozbudować.

NIESTETY

Postanowiłem napisać humo- reskę, zaraz zasiadłem do ma- szyny. Słowa płynęły wartkim strumieniem, zdania krążyły i soczyste kończyły się czarnymi kropkami, których było coraz więcej, bo temat wyszukiwałem tak frapujący, że nie miał po prostu końca. Gdy uderzyłem po raz ostatni w klawisz ozna- czony kropką, nałpierz ucie- szylem się jak sztubak, który właśnie skończył pisać wypra- cowanie, potem jednak miejsce radości zajął refleksja: czy to aby to o co chodzi? I zmartwi- lem się tak jakby.

Któż dziś bowiem pisze hu- moreskę, w której poszczególne wyrazy usytuowane są zgodnie z prawidłami pięknej mowy Re- ja i Kochanowskiego? Cały dowcip polega właśnie na tym, aby tak nie było i z tego trze- ba śmiać się właśnie, tak iakoś. Wymyślił to w Warszawie chy- ba. Jak to wymyślił jeden i tak zaczął pisać to było to jeszcze wesołe tak jakby.

Ale później za tamtym poszli inni i teraz we wszystkich fe- lietonach nawet można tę ma- nię znaleźć, niestety. I to już zaczyna być wtórne, tak jakby, bo jak to robił pan Dobrowol- ski z panem Pokorą to to jesz- cze bawiło chyba. Ale teraz już nie bawi, niestety.

Poczułem się więc sfrustro- wany tak jakby.

Napiszę humoreskę po stare- mu — to odrzucają, niestety. Powiedzą: nie do druku, nieste- ty, albo napiszą: „z przesłanej humoreski nie skorzystamy, nie- stety”. A jak napiszę po nowo- mu humoreskę, to będzie epigo- nizm, niestety. I zrobiło mi się jakoś głupio tak jakby. Bo pi- sać przecież muszę chyba i na chleb zarabiać trzeba, niestety. Napisałem jednak humoreskę tradycyjną tak jakby. W oczach nowatorów podpadłem oczywi- ście tak jakoś. I aż się bałem wysłać ją gdziekolwiek jak gdyby.

Mam jednak nadzieję, że nie wszyscy jeszcze zwracali tak jakby. Więc zrozumieją mnie chyba.

A do wszystkich autorów pi- szących tak właśnie mam małą uwagę tak jakby: otóż, kochani nie w tym rzecz chyba!

Bo straszno się robi na duszy tak jakoś, gdy kanonem obowi- zującym staje się moda tak jak- by i pogawrdki ze „SPATIEU”, niestety. I gdy wszystkich zmu- sza się do mówienia i pisanja takim językiem tak jakby. Be- dę więc prowincjonalny, nie stołeczny chyba. Taki łódzko- poznajski, niestety. A raczej: Chyba prowincjonalny! I stwierdź jeszcze na zakończe- nie, że humor, który polega na ustawicznym przedstawianiu na- turalnego sztyku wyrazów w zdaniu, to humor bardzo prymy- tywny tak jakby. Bo oprócz tego trzeba jeszcze umieć pisać, niestety.



Fot.: Archiwum

FELIKS RAJCZAK AFORYZMY

Mam poważne obawy, czy X wejdzie do literatury. Jeździ limuzyną.

Altruista z naszej parafii rozdał ludziom swój cały majątek. Pozostał w jednej koszuli. I teraz rozdaje... autografy.

Nadszedł czas, że musiał się określić. Więc określił się święconą kredą.

I po to są również uczeni, by odpowiadali na głupie pytania.

Kłeska narodowa w państwie A: Królowa zlamala pa- znokieć.

Musiał zakasać rękawy, by zdobyć jej rękę.

Nie sztuka podzielić włos na czworo. Poprzecznie.

Plafus na pomniku długo nie wystoił.

Czas już spojrzeć z lotu ptaka na poetę z głową ja- strzębia.

PLYTY PLYTY PLYTY PLYTY PLYTY

HISZPAŃSKA MUZYKA FORTEPIANOWA

Chciałoby się pisać o nowych polskich nagraniach muzyki poważnej, ale jak tu pisać o czymś, czego prawie, albo zupeł- nie nie ma? Pomimo bowiem gromkich zapowiedzi, wywiadów i enuncjacji prasowych, sytuacja się nie zmieniła, a w każ- dym razie nie zmieniła się na lepsze. Skoro prawie nie ma nowych, wypadła pisać o płytach starzych, choć odnowionych, które doczekały się wznowienia. Dziś parę słów o muzyce hi- szpańskiej. Nie ma jej na naszych ołtarzach wiele, tym bardziej więc warto zwrócić uwagę na wznowienie po raz pierwszy w wersji stereo dawnej ciekawej płyty Władysława Kedry (o- patrzonej tytułem: „Hiszpańska muzyka fortepianowa” (Muza SXL 0254). Nie żyjący artysta był pianistą, jak rzadko kto predysponowanym do wykonywania hiszpańskiego repertuaru, a to dzięki swemu ogromnemu temperamentowi i doprawdy imponującej łatwości technicznej, czy jest dziś wśród polskich pianistów, kto sięga po tę muzykę? Cykl utworów Isaaca Al- beniza, między którymi znalazły się takie perełki, jak „Mala- guena” czy „Navarra” nie mówiąc już o sławnym „Tangu”, drobniutki Manuel Infante, Enrique Granados i jedynego Ku- bańczyka w tym hiszpańskim towarzystwie Ernesto Lecuona, złożyły się na bardzo efektowny blaskotliwy recital wybitnego pianisty. Mimo że nagranie jest ledwie, brzmiał wcale dobrze, pomimo nieuniknionych szumów Szkoła tylko, że płyta wy- tłoczono na tyle niestarannie, iż trudno trafić na egzemplarz bez nierozwidydanych efektów akustycznych. Mimo to wszyst- ko — dzięki Władysławowi Kedrze — płyta to znacznie ciekaw- sza od wielu od niej młodszej, o podobnym charakterze, mianowicie utrwalonego na płycie Muzy recitalu hiszpańskiego pianisty Joaquín Soriano de Castro (Muza SXL 0808) opatrzo- nego identycznym tytułem, co płyta W. Kedry: „Hiszpańska muzyka fortepianowa”. Lista nagród zdobytych przez tego mło- dziego artystę na konkursach pianistycznych, nazwiska wybit- nych pedagogów u których studiował — wszystko to wliczone skrzętnie na okładce — ma zachęcić do wysłuchania nagrań pianisty. Szkoda jednak, że nie bardzo zachęca do tego sama płyta, nagrana brzydkim, martwym dźwiękiem, co sprawia, że trudno dopatrzyć się w interpretacji pianisty jakiegokolwiek polotu. Ale muzyka jest z pewnością warta uwagi: z dzieł I. Albeniza oprócz „Navarry” (o wiele ciekawiej zagranej przez W. Kedrę) mamy tu trzy przepiękne utwory z cyklu „Ibe- ria”, bodaj najdłuższego z kompozycji hiszpańskiego twór- cy, ponadto pięć tańców Joaquína Turina, fragment z ge- nialnego cyklu „Goyescas” E. Granadosa i wreszcie drobny, taneczny utwór Manuela de Falla. Jest to muzyka szczególnie, tętniąca życiem, przezwyciężająca inspirację egzotycznego dla nas, lecz także fascynującego hiszpańskiego folkloru, o orga- ninalnej melodyce, pulsująca jakimś tanecznym rytmem. Muzyka

SALON

która angażuje słuchacza, każą mu do siebie powracać. Szko- da, że tak rzadko mamy się z nią okazji spotkać, czy to na sa- li koncertowej, czy na płycie gramofonowej. Cóż, nie jest to muzyka pod względem wykonawczym zbyt łatwa.

XYZ

Dziś nie o płytach, ale o naszym rodzimym „przemysle fo- nograficznym” (tak to się szumnie nazywa), czyli o akcji uo- sabiających go „Polskich Nagrań”.

5 maja bieżącego roku był dla tego przedsiębiorstwa bardzo ważnym dniem. Wtedy to w Warszawie na Nowym Świecie 68 (przy zbiegu z ul. Świętokrzyską) otwarto pierwszy w kraju (o ileż to lat za późno?) Salon Muzyczny „Polskich Nagrań”. Nim doczekamy się następnych w innych większych miastach Polski — przyjrzyjmy się temu prototypowemu salonowi. Pisali już różni ludzie na temat panującego w tej placówce bałaganu organizacyjnego. Narzekano na niezbyt fachową obsługę, na słabą wentylację pomieszczeń, wreszcie na niedo- statki w zaopatrzeniu materiałowym. I chyba wszystko słusznie, bowiem gdyby komuś przyszło do głowy, że poza przypadkowymi przechodniakami do Salonu Muzycznego „Polskich Nagrań” kierować będą swe kroki ludzie szczerze zainteresowani polski- mi płytami: recenzenci, chcący nabyć nowości (zresztą zagra- niczne, choćby londyńskie czy RFN-owskie, sklepy firmowe wy- twórni płytowych pełnią także funkcję sond wchwytyjących wielkość popytu wśród klientów na jakąś zapowiedzianą no- wość), hobbysty, potrzebujący do kolekcji jakiegoś półłone- pła z końca lat pięćdziesiątych, plastycy, chcący uniknąć powielenia wzoru jakiejś okładki, melomani mający za punkt honoru dobra orientację w przedmiocie zainteresowań, a także muzycy — byłoby chyba inaczej. Zwiększa w trosce o tych ostatnich powinni się gospodarze postarać o stałą konserwację sprzętu odtwarzającego, a względem poprzednich — o auto- matyczny katalog wizualno-alfabetyczny (coraz częściej spoty- kany na Zachodzie).

Lokal przeznaczony na salon jest moim zdaniem zbyt mały, a stać łatwo o tłok, zwłaszcza przy kilkunastu parach słucha- wówk umieszczonych na środku pomieszczenia, gdzie znajduje się niewygodna (bez oparcia) kolista ławka dla chętnych prze- słuchania płyty. Estetyka wystroju wnętrza opiera się o stale dekoracje (według pomysłu Rafała Olbińskiego) w postaci sre- brnych metalowych krawków. Gdybyż jeszcze w tej scenarii trochę urozmaicenia, i ciekawiej!

Poza tym w gestii „Polskich Nagrań” leży wyłożenie w sa- lonie dużej liczby różnych wydawnictw, także reklamowych. Może do spełnienia tego i poprzednich postulatów stanie się wreszcie aktualne to, o czym pisał się w ostatnim biuletynie fonograficznym „Polskie Płyty”: „Powstanie warszawskiego sa- lonu fest koleijnym przykładem reklamowej ofensywy „Polskich Nagrań” i zdaje się być zapowiedzią dalszych zmian w handlu płytami i kasetami”.

K. D.

HORACY SAFRIN

Fraszki muzyczne

NA SCHEMATYCZNĄ PIOSENKE

Pustka w dźwięku, banal w słowie, schematyczna dziesięcinada. W tej ośrodku „o budowie” każda zwrotka się rozpada.

O PIOSENKARCE N.

Gdy jej sopran chrapliwy rozległ się na sali, co wrażliwi słuchacze ze swych miejsc powstał. Nagle głos ostrzegawczy z balkonu doleci: „Niech się najpierw ratują kobiety i dzieci!”

NA PEWNEGO KOMPOZYTORA

Muzyk ten niekupleckie zgło ma zwyczaj: co pożyczyl u zmarłych, to żywym oddaje.

MELOMAN

Budził śpiące ulice pijacką piosenką. Aż znalazł się pod kluczem. Teraz śpiewa cienko.

MUZYKALNY OSIÓŁ

„Nie uchodzę za miedra ani eleganta, ale „I — ja” me, przynasz, to szczyty bel-canta!”

PODCZAS KONCERTU ŻABIEGO

Siadła ropucha na stawu szkarpie i kumka kumka, aż uszy bola. „Czemuz to pani głos sobie szarpie?” „Jam nie chórzystka — ja śpiewam solo!”



Fot.: Archiwum

MAGAZYN

ODGŁOSY

Pierwsza część „Ojca chrzestnego” zrealizowana przez młodego amerykańskiego reżysera — Francisca Coppolę w 1972 roku, stała się jednym z najbardziej kasowych filmów ostatnich lat.

„Chciałem pokazać w tym filmie mafie jako metaforę Ameryki” — powiedział o swoim filmie F. Coppola. Niemniej większość widzów odebrała jego dzieło jako kolejny, choć po mistrzowskiemu zrobiony, gangsterski film z interesującą fabulą i mocnymi scenami.

Takiego też filmu spodziewali się wszyscy przed premierą drugiej części „Ojca chrzestnego”. F. Coppola nie spełnił jednak tych oczekiwań. Zamiast filmu pełnego morderstw i bijatyk, gwałtu i wojen gangsterskich — zaprezentował publiczności poważny dramat polityczny.

Michel to również mafijny król, ale wyzuty z ostatnich zasad moralnych, jakie charakteryzowały jeszcze jego ojca, pozba-

wiony całkiem ojcowskiego swobodnego dostojenia i opiekuńczości. To już bardziej urzędnik niż gangster. Okrutny, cyniczny i bezwzględny.

F. COPOLLA

O SOBIE I SVOICH „OJCACH CHRZESTNYCH”

Zanim film ten trafił na nasze ekrany, zapoznaliśmy się z tym, co F. Coppola powiedział o sobie i swoich filmach przedstawicielowi „Literaturnej gazety” — W. Szustakowski:

— Pierwszy film fabularny „Obłęd 13” — mówi F. Coppola — jaki zrobiłem, pojawił się na ekranach w 1962 roku. Potem zostałem scenarzystą. Przez siedem lat zajmowałem się tylko tą robotą. Następnie powróciłem

znowu do reżyserii, nakręciwszy komedię muzyczną „Jesteś teraz dużym chłopcem”. Wkrótce zaproponowano mi realizację komedii opartej o starą sztukę muzyczną „Tęcza Fignana”. Był to mój pierwszy film w Hollywood. Zrobiwszy jeszcze jeden film „Ludzie deszczu”, który rzeczywiście nie miał powodzenia, porzuciłem Hollywood i w 1967 roku przenieśliśmy się do San Francisco. Był to okres bardzo dla mnie trudny. Nikt w tym czasie nie proponował mi pracy. Właśnie w tym okresie zrobiłem „Ojca chrzestnego” — wyłącznie

końca urzędującego w pierwszym filmie. Niepokoiło mnie, że wiele osób dopatrywało się w pierwszej części romantyzacji mafii. W istocie chciałem ukazać tu Michela Corleone jako potwora — takim jest on zresztą pod koniec pierwszej części „Ojca chrzestnego”: okłamuje swoją żonę, staje się zimnokrwistym mordercą, jak go nazywa własna siostra.

— Nie chciałem, żeby Michel lub rodzina Corleone została zniszczona przez inną bandę lub generalnego prokuratora. Michela powinien zniweczyć siły, które go stworzyły. W drugiej części pokazałem Michela w roli jednego z najpotężniejszych ludzi Ameryki. Równocześnie jednak jako człowieka wewnętrznie martwego.

— A zatem druga część, to nie tyle kontynuacja pierwszej, ile polemika z nią?

— W drugiej części każda scena odwołuje się do tego, co było pokazane w pierwszej części. A jednocześnie druga część bardzo różni się od pierwszej. Pierwszą część robiłem jako nauczyciel. Nie ja napisałem książkę, według której zrobiony jest film, a która z początku nie spodobała mi się. Nie interesuje mnie historia mafii sama w sobie. Nie lubię gwałtu — w filmie... (opr. ind.)

W. KOTIENKO

DOKUMENTY

Nie napotkałem dotąd hotelu, w którym byłoby wolne miejsce...

— Dzień dobry — mówię, jakaję się.

W odpowiedzi — milczenie.

— Wpuśćcie na nocleg?

— Sprächen sie Deutsch?

— Nein.

— Parlez vous français?

— No.

— Du you speak English?

— Non.

— Znaczy się, nie inturysta?

— Nie.

— Wobec tego, może pan umie czytać po rosyjsku?

— Oczywiście!

— To proszę przeczytać.

Naburmuszony recepcjonista trzepnął dłoń w tabliczkę „Brak miejsc”.

— Wobec tego gdzie mam

nocować? W tym mieście nie mam rodziny ani znajomych...

— Na wszelki wypadek proszę zostawić swój dowód. A nuż coś się zwolni.

Włożyłem do dowodu 10 rubli i położyłem go na barierkę.

Recepcjonista otworzył dowód i powiedział z uznaniem:

— W porządku. Teraz chciałbym obejrzeć pańską delegację.

Podaliśmy delegację razem z ośmioma rublami.

— W normie. A zaświadczenie z pracy?

Podaliśmy, wkładając do środka 5 rubli.

— Pięknie. Teraz legitymacja Związku Zawodowców.

Zazwyczaj legitymację Zw. Zaw. przechowuję w zarządzie, lecz nie jestem nałwniakiem.

Jadąc w delegację wziąłem ją

ze sobą, by właśnie teraz położyć ją przed recepcjonistą razem z trzema rublami.

— Niezwykle ciekawe dokumenty! Ma się chęć przegladnąć je jeszcze i jeszcze. A przypadkiem nie ma pan przy sobie książeczki wojskowej?

— Przypadkiem mam.

Z radości recepcjonista schwył się za głowę i wykrzyknął:

— Więc proszę mi ją dać!

Chcę ją jak najprędzej zobaczyć!

Do książeczki wojskowej wsunąłem dwa ruble.

— Tak... O co by pana jeszcze poprosić? Jakże by tu jeszcze dokumenty... O, właśnie!

Kartę biblioteczną, poproszę!

Nocować na ulicy nie miałem zamiaru, toteż wraz z kartą oddałbym swój rubel.

— Cudownie! Zachwycająco!

Co to ja jeszcze... Aha! Gdyby pan tak miał przy sobie książkę meldunkową...

— Marnie powiedział recepcjonista.

— Lecz wątpię czy domyślił się pan, by ją zabrać ze sobą w podróż!

— A niby dlaczego? Proszę bardzo.

Jeszcze jeden rubel padł między stronicę książki meldunkowej.

— Zdrowo! Po prostu brak mi słów. Nie ma pan przy sobie więcej dokumentów?

— Niestety.

— Szkoda. Wobec tego daj pan zwyczajnie. Położyłem przed nim ostatnich pięćdziesiąt kopiejek. Recepcjonista elegancko zgarnął je rękawem do szuflady.

— Może pan uważać się za mieszkańca naszego hotelu.

Szybko wystawił mi rachunek.

— Proszę się rozgościć! Nałoży się za pokój 60 kopiejek.

Zaczęłam macać po pustych kieszeniach.

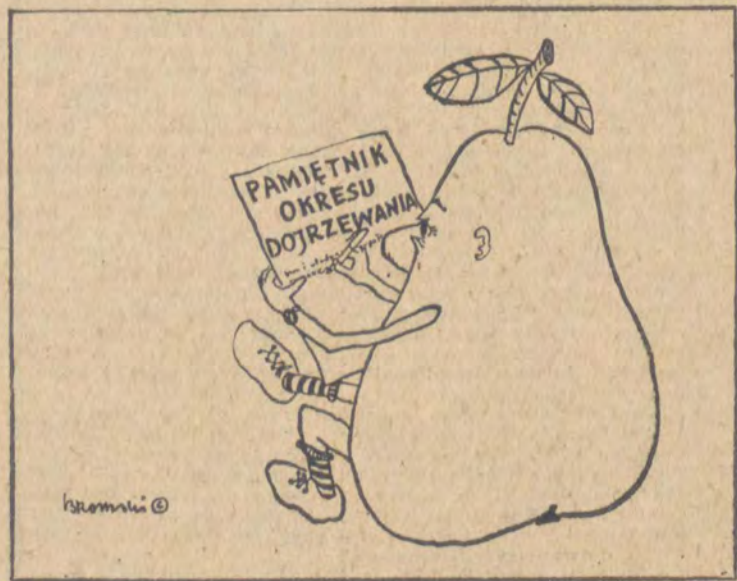
Nocować musiałem na ulicy.

Przełożył: E. U.

OPOWIEŚCI NIEPRAWDZIWE

RYSOWAŁ:

JACEK BROMSKI



BAJKI NA DOBRANOC

Swirek i Głodomerek szli sobie spacerkiem trasą lazienkowską. Krany jak zwykle przeciekały, więc Głodomerek nadstawił czapkę, żeby się napić czegoś mocnego. I rzeczywiście. W lazience zapachniało chlorem. Mocna rzecz.

— Ni: ze mną te numery, Brunner, ty świno — powiedział jednak z niesmakiem Głodomerek. Zresztą zaraz, J-23 chwycił Brunnera w podwójny nelson i zmusił go do naprawienia krana.

Trasa lazienkowska znów była wolna.

Było ich trzech — Leszek, Czesiek i Rysiek. Żeby się trochę rozerwać, postanowili coś zrobić.

Zaczęli więc kopać. Kopali i kopali, aż wykopali głęboki dół. Z piasku zaś wyrosła wielka góra. Leszek, Czesiek i Rysiek weszli na szczyt góry i wtedy Rysiek powiedział:

— To znaczy, my som bardzo wielcy.

— My som bohaterowie — potwierdził Leszek.

— Nas naród kocha — zawtórował Czesiek.

Z wysokiej góry widać było jakąś wielką budowlę, niby amfiteatr, jakiś albo Colosseum... Wtem Leszek krzyknął:

— Chłopaki, tam się coś błyska.

Zbiegli w dół i pognali. A tam wśród pustych ławek leżało 80 tysięcy opakowań szklanych à 3 zł sztuka.

Nazajutrz wrócili do domu — każdy wioząc po jednym opakowaniu.

Kot Mikesz wyruszył do miasta, żeby sobie wybrać jakiegoś kociaka na żonę. Może to zresztą nie chodziło akurat o żonę — Kot Mikesz nie przepadał za rozwiązaniami ostatecznymi.

W każdym razie był marzec, słonko przygrzewało i Kot Mikesz wiedział, że mu czegoś brak. Nawet wiedział czego.

Ale w mieście spotkał go sąd. Na słońcu wygrzewały się jakieś wyleńskie kocięta, lecz nawet na lekarstwo nie było żadnego przyzwyczajonego kociaka.

Gdzie się one podziały — martwił się Mikesz i już chciał wracać do domu, gdy zobaczył napis „Dyskoteka”. A w środku — same kociaki.

Ale, niestety, nie wpuszczono go do środka, ponieważ nie miał wizytowych butów. Był to bowiem Kot Mikesz, a nie Kot w Butach, który jest postacią z zupełnie innej bajki. Dobranoc.

JUŻ JESIEŃ



Fot. J. Stankiewicz

POWIEKSZENIA

NOWY FESTIWAL

Mamy nowy festiwal piosenek! W Łodzi odbył się „ogólnopolski przegląd piosenek budowlanej”. Zupelna ciekawostka — cześć nas jednak myśl, co będzie, jeśli w ślad budowlanych pójdą inne branże.

Kiedyś to już zresztą było. Mielśmy piosenki komunikacyjne („Autobus czerwony przez ulicę mego miasta mknie”), sadownicze („Jabłuszko pełne snu”), piłkarskie („A mój chłopiec piłkę kopie”), tryzjerskie („Spójrzcie na pierwszy siew wios na twojej kromie”).

Festiwal piosenek budowlanej świadczy, że nawiązujemy do starych, dobrych tradycji. Tylko, że wówczas budowlani pracowali śpiewając.

WRESZCIE SGGW

Parę lat trwała prasowa wojna o przywrócenie zasłużonej uczelni z wieloletnimi tradycjami nazwy Szkoły Głównej Gospodarstwa Wiejskiego. Nie wiadomo, dlaczego zmieniono tę nazwę na Akademię Rolniczą, co wywołało protesty zarówno studentów, jak i absolwentów i części kadry profesorskiej. Długo czas nie było mowy, aby to oczywiste głupstwo naprawić.

Kres nonsensowi położyło wreszcie rozporządzenie Rady Ministrów. Piszący o tym z zadowoleniem, bo i „Odgłosy” w telety nie Widok protestowały przed laty przeciwko decyzji zmiany SGGW na Akademię. Nawiasem mówiąc ciekaw jestem, jakiegoż rodzaju tego dowcipnisi, który spowodował swoim niewczesnym pomysłem „burzę nad SGGW”, w której grzmiała większość polskich czasopism.